

DZIENNIK OSTROWSKI

Rok 2

Ostrów, (Wlkp.) niedziela dnia 15 lipca 1934

Nr. 158

Wieści od polskich badaczy dalekiej Północy

Walki z wojowniczym ptactwem — zdobycze naukowe

Warszawa (PAT.) Korespondent na Spitzbergenie inż. Biernawski nadesłał drukowany komunikat z polskiej wyprawy polarniej na Spitzbergen, treści następującej:

Zakładanie obozu bazowego na wybrzeżu zatoki van Keulen trwało około trzech dni i wymagało dość dużo wysiłku. Miejsce na obozisko zostało bowiem wybrane w odległości 10 metrów od morza i na wysokości około 10 metrów na morenie lodowca Finsterwaldera. Do miejsca obozu należało przenieść około 1500 kg. rzeczy niezbędnych dla założenia bazy. Był to podręczny skład żywności, sprzęt polarny i alpinistyczny, rozmaite narzędzia oraz instrumenty pomiarowe. Celem ułatwienia transportu zbudowano niewielki budynek na morenie. W odległości około 100 metrów od morza założono główny skład żywności oraz umieszczono beczki z benzyną, naftą i spirytusem. W małej zatoce została zakotwiczona łódź z 4.0 konnym silnikiem, zakupiona w Norwegii. Przed obozem utknęto flagi polską i norweska oraz wyawiono maszty antenowe.

Po założeniu bazy członkowie wyprawy zostali podzieleni na dwie grupy. Pierwsza grupa wyruszyła celem zbadania najlepszej drogi do nieznanego wnętrza ziemi Tørelia. Druga grupa prowadziła w tym czasie prace geologiczne na wybrzeżu zatoki van Keulen. Jednocześnie nakrecono film i dokonano zdjęć fotograficznych otoczenia bazy, fiordu lodowca Finsterwaldera.

Nawiązanie łączności zapomocą krótkofalowych stacji radiowych o małej mocy wymagało dużych wysiłków nie dając, jak dotychczas, rezultatu.

Warunki odbioru są bardzo trudne spowodowane silnie zjonizowanym powietrzem pod wpływem słońca, stale krążącego nad horyzontem. Pomimo posiadania dobrych odbiorników nie udało się odebrać ani jednej stacji naziemnej. Telegraficznie udaje się odbierać słabo i słyszeć stacje krótkofalowe i harmoniczne długofalowe.

W nocy z 27 na 28 czerwca silny sztorm z południa wyrzucił łódź motorową na ląd, rozrywając częściowo jej wnętrze i uszkodzając silnik. O gwałtowność sztormu świadczyć może np. taki fakt, że induktor od silnika znalazł się w odległości około 30 metrów od morza, zagrzebany niemal całkowicie w żwirze.

Wybrzeża zatoki van Keulen są bardzo strome i zamieszkałe przez niezliczone stada ptactwa: gęsi, kaczek, alk i rozmaitych ptaków, niezwykle wojowniczych jaskółek. Jaskółki te są większe od spotykanych w Polsce i napadają na członków wyprawy tak często i tak długo, dopóki ci nie odejdą od

ich gniazd. Na morenach lodowca Finsterwaldera członkowie wyprawy upolowali m. in. 3 kuropatwy lodowcowe białe z pomarańczowymi powłokami, przeznaczone na okaz dla naszych zakładów naukowych. Mięso tych kuropatw jest bardzo smaczne.

W nocy 29 czerwca ujrzelismy w fiordzie van Keulen stojący na kotwicy nasz masztowiec z flotyllą małych łódek. Był to, jak się okazuje, statek łowców białych ryb; z których skór wyrabiane są rzemienie oraz pasy transmisyjne.

Co mówi woj. Biernacki o obozie izolacyjnym

Jedno z pism zamieszcza rozmowę z wojewodą poleskim płk. Kostkiem Biernackim na temat obozu izolacyjnego w Berezie Kartuskiej.

Wojewoda oświadczył m. in., że sprawa obozu nie jest sprawą jakiegokolwiek sensacji dziennikarskiej. To nie jest cyrk, do którego można podchodzić z tą niezdrową, żadną sensacją ciekawością i dlatego jak wiadomo, wydałem cały szereg zarządzeń, regulujących sprawę, dotyczące miejsca odosobnienia w Berezie.

Na wzmiankę o zamiarach dziennikarzy dostania się do obozu w celu zwiedzenia go odpowiedział wojewoda:

— Nie radzę. Ja zezwolenia nie dam.

Resztę regulują zarządzenia, które nakładają bardzo surowe kary na tych, którzyby chcieli przekroczyć nakreśloną granicę obozu. — (Jak nasi czytelnicy przypominają sobie z wczorajszego numeru, wojewoda poleski zapowiedział, że winni mogą być zamknięci w obozie izolacyjnym w Berezie Kartuskiej).

Na zapytanie o stan zdrowia p. wojewoda Kostek-Biernacki powiedział:

— Czuje się doskonale. Wprawdzie zrobiło mi się niedobrze, że miałem umierać na raka żołądka. Jak pan jednak widzi, jem wszystko i jako żywo nigdy na raka nie chorowałem. Plotka wyszła od moich „przyjaciół” politycznych, którzy radziby mnie już pogrzebać.

Rodzina prezydenta Portugalji ofiarą wypadku samochodowego

Paryż (Tel. wł.) W katastrofie samochodowej w pobliżu Coimbra odnieśli rany żona prezydenta Portugalji Carmona oraz jego córka i dwoje wnuków. Zapelniony wycieczkowiczami autobus wpadł na jednym z zakrętów na samochód, wiozący rodzinę pre-

zydenta Carmano. Żona prezydenta odniosła tak ciężkie rany głowy, że w stanie nieprzytomnym przewieziona została do szpitala. — Stan pozostałych członków rodziny nie jest groźny.

Kilkaset morgów torfu płonie

Berlin (Tel. wł.) Położone na północno-wschód od Hanoweru torfowisko Altwarmbüchener, które zaczęło się już w ubiegłym tygodniu palić, stoi już teraz całe w płomieniach. Wszystkie wysiłki akcji ratunkowej pozostały bezskuteczne i pożar przerzucił się nawet przez wykopane w celu powstrzymania ognia rowy. Ogień objął już kilkaset morgów. Ugaszenie pożaru spowodu braku wody nie leży już w sferze możliwości, to

też torfowisko musiano pozostawić własnemu losowi. Ugasić ten pożar mogłyby tylko długotrwałe, gwałtowne deszcze. (s.)

Nowy lot do stratosfery

Paryż (PAT) Z Brukseli donoszą, że w końcu bieżącego tygodnia przewidziany jest lot do stratosfery Cosinsa i Van der Elsera, którzy zamierzają osiągnąć wysokość 17.000 m. Lot jest subwencjonowany przez specjalnie utworzony belgijski fundusz dociekań naukowych.

Stosunki z Litwą układają się coraz lepiej

W ostatnich dniach jesteśmy świadkami coraz poprawniejszych stosunków sąsiedzkich między Polską a Litwą. Szczególnie można było to zaobserwować po wizycie p. płk. Prystora w Kownie.

Wyrazem tego korzystnego i oddawna oczekiwanego nastroju jest w pierwszym rzędzie odprężenie w stosunkach granicznych. Ustąpiły wszelkie prowokacje ze strony strażników litewskich, nie notuje się już wypadków niszczenia i przesuwania wiech granicznych. Również na rzekach granicznych strażnicy litewscy nie zatrzymują już łodzi i tratw polskich. W kwestii bezpieczeństwa na granicy i łepienia band przemytniczych nastąpiło na niektórych odcinkach wzajemne porozumienie się stanic kresowych.

Wzmaga się również ruch turystyczny. Ostatnio zapowiedziano przyjazd wycieczki litewskiej do Gdyni — ponadto ożywił się ogromnie ruch w pasie granicznym. Najlepszym dowodem, że władze litewskie dążą do nawiązania poważniejszych stosunków z Polską, jest udział delegatów litewskich w konferencji kolejowej która odbyła się w Krakowie. Słychać coraz częściej o dążeniu przez Litwę do uregulowania tranzytu.

Warto zaznaczyć, że strona polska też okazuje dla tego zbliżenia wielkie zainteresowanie. Na Wileńszczyźnie odbyła się ostatnio konferencja posłów i senatorów B. B. W. R. z udziałem p. płk. Prystora. Głównym tematem obrad była sprawa litewska, (akl.)

Adamowicze lecą dookoła Polski

Dnia 14 b. m. bracia Adamowicze opuszczają Warszawę, aby odwiedzić miasta polskie. Trasa lotu braci Adamowiczów przedstawia się w sposób następujący:

Odłot z Warszawy dnia 14 bm. o godzinie 10-ej rano, przylot do Inowrocławia o godzinie 11.30. Z Inowrocławia odłot dnia 15 b. m. o godz. 17-ej. Przylot do Poznania o godzinie 18-ej. Pobyt w Poznaniu — dwa dni odłot 17 b. m. o godzinie 10-ej przylot do Łodzi o godzinie 11.30. W Łodzi pobyt jednodniowy. Odłot 18 do Bydgoszczy o godzinie 10-ej. Lądowanie o godzinie 11.30, a w odłot 19 bm. o godz. 10-ej do Gdyni. W Gdyni pobyt czterodniowy, odłot 23 bm. o godzinie 10-ej do Grudziądza. Po jednodniowym pobycie odłot do Płocka o godzinie 9-ej.

Ponadto Adamowicze odwiedzą jeszcze Wilno, Lublin, Lwów, Kraków, Katowice, i Częstochowę.

Konne autobusy

W związku z wprowadzeniem koncesji autobusowych, unieruchomiono — jak wiadomo — kilka tysięcy wozów autobusowych w całej Polsce. Właściciele tych wozów nie są w stanie ich sprzedać, gdyż nikt nie kupi autobusu, którego uruchomienie wymaga ogromnych nakładów gotówki i starań. To też większość wozów stoi w garażach, a na prowincji na powietrzu bezczynnie. Właściciele wozów są zrujnowani. Zdarzyły się jednak wypadki, że właściciel wozu autobusowego usunął motor, założył orczyk i dyszel, zaprzął dwa konie i pojechał, wioząc tak przeobrażonym autobusem pasażerów. W ten sposób nastąpiła modernizacja dawnych zaprzęgów. Wozy takie są o tyle wygodne, że posuwają się na gumach, mają hamulec i kierownicę. Najwięcej takich dziwolągów kursuje na kresach wschodnich z szybkością 7 km. na godz.

Francja oszczędza

Paryż (PAT) Prezydent Lebrun podpisał wczoraj dekret, przeprowadzający oszczędności na sumę 152 milionów franków drogą zniesienia 10.300 stanowisk i urzędów.

Ostateczny termin wyborów do rad gminnych i okręgowych został wyznaczony na 14 października.

Co zamierza uczynić Fundusz Pracy dla bezrobotnych

Budżet 110 milionów zł — Najniższa płaca robotnika 3 zł na dzień

Naczelny dyrektor Funduszu Pracy, p. poseł Małdeyski udzielił ostatnio agencji „Iskra” wywiadu na temat zagadnienia bezrobocia. Niżej przytaczamy ciekawe wyjątki:

— Główną cechą obecnie realizowanego programu inwestycyjnego jest przekroczenie dwój części funduszy przeznaczonych na inwestycje na pozycje twórcze. Przeznaczaliśmy bowiem z budżetu naszego, wynoszącego

okragło 110 milj. zł.,

82 milj. zł. na sfinansowanie robót, w tem 62 milj. z Funduszu Pracy, a 20 milj. zł. z Funduszu Inwestycyjnego, a na różnego rodzaju akcje pomocy — tylko 30 milj. zł. Poza tem drobna suma, wynosząca — jak w tej chwili — zaledwie 4 pro mille idzie na naszą administrację

— Jaka zachodzi różnica między programem tegorocznym a zeszłorocznym?

— Program tegoroczny jest znacznie lepiej przygotowany

pod względem celowości i gospodarczego znaczenia niż w r. ub., kiedy wskutek późnego ukończenia się Funduszu Pracy nie mogliśmy wystąpić z takim planem. Nie ulega wątpliwości, że efekt zatrudniania w tym roku będzie większy niż w r. ub. Przypuszczam, że

zatrudnimy co najmniej 5 razy więcej bezrobotnych, niż w roku 1932 pracowało przy pomocy kredytów przeznaczonych na walkę z bezrobociem.

— W jaki sposób zapewniają panowie zatrudnienie jak największej ilości osób z kredytów udzielonych na roboty?

— W tym celu ustaliliśmy różną granicę udziału Funduszu Pracy w pokryciu zarobku dziennego robotnika, określając normę 3 zł. dla robotnika niewykwalifikowanego, 4 zł. dla wykwalifikowanego robotnika i 5 zł. dla dozoru. Tylko w wyjątkowych wypadkach normy te mogą być podwyższone o 1 zł. dla miejscowości o wyższych kosztach utrzymania.

— A więc to jest wysokość dopuszczalnej dniówki

— Ależ nie, wprost przeciwnie. Należy podkreślić to mocno, że te normy to nie jest wysokość dniówki, lecz wysokość udziału Funduszu Pracy dla kredytobiorcy, który prowadzi roboty.

— O ile rozumiem, przez te normy usiłują państwo rozszerzyć zasięg swej pomocy na zatrudnienie

— Ścisłe — proszę pana — respektowanie norm ustalonych przez Fundusz Pracy jest decydującym współczynnikiem dobrych efektów walki z bezrobociem. Im ściślej będzie stosowany udział Funduszu Pracy w normach dniówkowych robotników, tem większa będzie liczba ludzi, którzy otrzymają pracę. Dążymy tą drogą do jak najskuteczniejszego wykorzystania przez inicjatywę publiczną, społeczną i prywatną.

— W czym przejawia się wspomniana przez p. Dyrektora celowość gospodarstwa robót?

— Jako potwierdzenie większej celowości robót tegorocznych należy wymienić wielki udział Funduszu Pracy w budowie dróg kołowych w sumie 25 milionów zł. Na budowę i wykończenie nowych dróg kolejowych przeznaczaliśmy w tym roku 5 milj. zł. na roboty wodno-komunikacyjne 5.6 milj. zł. na roboty melioracyjne 7.4 milj. zł. na elektryfikację, zryfikację i linie tramwajowe blisko 4 milj. zł. wreszcie na budownictwo mieszkaniowe robotnicze — 5 milj. zł. z czego 4 milj. oddaliśmy do dyspozycji Towarzystwa Osiedli Robotniczych.

— Działalność tego towarzystwa natrafiła o

— Tak jest. Zbyt mała jest jednak dotychczas

inicjatywa zbiorowa. Towarzystwo to bowiem zamieściło się zbiorem budownictwem, głównie osiedlami robotniczymi. Dla rozwoju tej akcji ważne jest więc aby zainteresowany świat pracy wykazał większą inicjatywę w gromadzeniu rozdrobnionych kapitałów własnych dla wykorzystania tej pomocy. I tak służyć może Towarzystwo Osiedli Robotniczych.

—oOo—

Podziemne arsenały spiskowców Roehma

Leżące w pobliżu Berlina miasteczko Nauen, które w XV wieku było schronieniem dla rozbójczych baronów feudalnych posłużyło za tajny arsenał zbuntowanym ostatnio przeciwko Hitlerowi brunatnym koszulom.

To stare miasteczko posiada średniowieczną dzielnicę, gdzie znajduje się pod domami labirynt podziemnych krużganków i tajnych schowków. Tam swego czasu rabusie feudalni trzymali swoje łupy. W roku 1919 i później władze niemieckie użyły tych podziemi do ukrycia broni i amunicji przed okiem międzywójki komisji kontrolnej, działającej na terenie Rzeszy dla dopilnowania rozbrojenia, przewidzianego Traktatem Wersalskim. Obecnie skolei nielegalne elementy berlińskich bojówek S. A. urządziły tam tajny skład karabinów, kulomiotów, rewolwerów i amunicji, gotując się do rewolty przeciwko rządowi.

Jednym z pierwszych kroków policji Goeringa i Reichswehry w czasie ostatniej akcji oczyszczania brunatnej armii była masowa konfiskata broni, znajdującej się w posiadaniu szturmowców. Do dziś dnia czarne koszule i zielona policja przebiegają przedmieścia Berlina w poszukiwaniu ukrytych arsenałów.

Operacja odbywa się w ten sposób że przeszukuje się poszczególne domy od dołu do góry pod pozorem rewizji mającej na celu wykrycie literatury marksowskiej. W mieszkaniach płucach, na strychu rusza się niemal każda rzecz, bada się meble, obstukuje ściany, przeprowadza się osobista rewizja przerażonych lokatorów.

Jednakże te skrupulatne poszukiwania nie dają przeważnie żadnego rezultatu. Skonfiskowano wprawdzie tysiące rewolwerów, ale praw

dziwie groźna broń, jak karabiny, granaty, kulomioty, znikły bez śladu, co naturalnie, nie jest objawem zbyt pocieszającym.

Większość brunatnych koszul bezwzględnie stosuje się do rozkazów i lojalnie zgłasza się na posterunki policji, zwracając rewolwery i oddając broń, które tak hojnie rozdawane były przez Roehma i jego leitnantów w pierwszych miesiącach po rewolucji narodowo-socjalistycznej. Ale z drugiej strony trzeba liczyć z tem, że bojówki S. A. złożone były w dużej części z dawnych komunistów i to właśnie elementy nie dadzą się tak łatwo „zgleichschaltować”. Jest w każdym razie rzecz charakterystyczna, że zdołano odebrać dotychczas tylko dwie trzecie broni, podczas gdy pozostała część i to właśnie najcięższa i najniebezpieczniejsza broń, pozostaje w ukryciu.

Nie będzie to łatwy problem do rozwiązania dla Goeringa i Hitlera, żeby się uporać z żywiołami, wobec których zastosowano tak bezwzględna i krwawa represję. Wyrzuceni na bruk, pozbawieni środków do życia, doprowadzeni do rozpacz, dawni szturmowcy S. A., mając pochwytaną broń, mogą się posunąć do rabunków i zbrojnych rozruchów, zwłaszcza w okresie zimy, która zapowiada się w Niemczech niezmiernie ciężka.

Do tego dołącza się u niektórych eks-bojowców S. A. chęć zemsty za okrutną represję i rozstrzelanie szeregu przywódców. Przed kilkoma dniami jedna trzecia część członków dawnej bojówki Mayowskiego mieszkającej w zaułkach Charlottenburgu, została aresztowana w chwili, gdy na fałernym zebraniu przysięgano sobie solennie pomścić egzekucję szefa berlińskiego Ernsta.

—oOo—

Min. Beck jedzie do Estonii Spotkanie dwóch monarchów

Warszawa (PAT) P. min. spraw zagr. Józef Beck udaje się w towarzystwie małżonki w dniu 23 b. m. z urzędową wizytą do Tallina celem złożenia rewizyty min. spraw zagr. Estonii.

Wiedeń (Tel. wł.). Z Beogradu donoszą, że król rumuński przybędzie z oficjalną wizytą do Jugosławii około 20 b. m. i uda się do miejscowości Bled gdzie przebywa na wyjazdach letnich król Aleksander jugosłowiański.

Usiłował zamordować kolegę, aby widzieć jak człowiek umiera

Sensacyjna rozprawa. — Oskarżony nie przyznaje się do winy. — Druzgocące zeznania świadków. — Wyrok: 4 lata więzienia

Inowrocław. Jak już swego czasu donosiliśmy, ulica Plebanka w Inowrocławiu dnia 13 lutego b. r. była terenem potwornej zbrodni, dokonanej przez 19-letniego ucznia murarskiego Stefana Rokickiego, na swym koledze i przyjacielu 17-letnim Stanisławie Gościńniku.

„PODKOZIOLEK”

Szczegóły tej potwornej zbrodni są następujące:

Tradycją nświęcone jest na Kujawach obchodzenie w ostatni dzień karnawału t. zw. „Podkoziółka”. Młodzież przebiera się za coby, cyganów, kominiarzy i t. d. i obchodzą domy prywatne i restauracje zbierając datki, za które urządzają wspólną zabawę.

Krytycznego dnia, jako w dniu tradycyjnego „Podkoziółka” Gościńnik przebrał się za cygana wzgl. kominiarza i udał się do mieszkania swego przyjaciela Rokickiego, by tam się przedstawić w tym stroju. Nie zadowolony z tego Gościńnik udał się w poszukiwanie kolegi i odnalazł go, bawiącego się u jednego z mieszkańców t. zw. „Młyna”, ul. Średnia 5-6. Tam obaj „przyjaciele” podchmielwsi sobie wyszli razem na ulicę, udając się do restauracji p. Dzikowskiej (ul. Toruńska). Zajawszy miejsce przy stoliku zażądał Rokicki karafkę „czystej”. Właścicielka restauracji, widząc, że ci młodociani goście są już podchmieleni, odmówiła im żądaniu co „obrazilo” Rokickiego, i wszczął awanturę.

Obecni w lokalu inni goście uspokoili podbitego wyrostka i ten opuszczając w towarzystwie Gościńnika lokal powiedział: — Mam przy sobie jeszcze trzy kulki i zobaczcie, co się dziś stanie pod kościołem”.

Oczywiście, że wypowiedzianym przez Rokickiego słowom nie dano żadnego znaczenia.

ZBRODNICZY STRZAŁ.

Wkrótce potem, około godz. 9-tej wieczorem usłyszano strzał rewolwerowy, kula którego ugodził Rokicki w skroń Gościńnika. Poczem zbiegł.

Po kilku minutach na ulicy Plebanka znaleziono leżące w kałuży krwi, dającego jeszcze słabe oznaki życia Gościńnika, z prześledzoną głową. Ofiarę przewieziono do szpitala a za zbiegłym zbrodniarzem wszczęto natychmiastowy pościg.

Policja drogą poufną dowiedziała się, że Rokicki po krwawej operacji, bawi się po lokalach rozrywkowych, a kiedy już funkcjonariusze PP. byli na jego tropie zdołał on przed pościgiem zbiec. Późną nocą zbrodniarz dręczony wyrzutami sumienia oddał się dobrowolnie w ręce policji.

Gościńnika cudem wprost uratowano od niechybnej śmierci, po udanej operacji, wyjęcia z głowy kuli. Po kilku miesięcznej kuracji opuścił on szpital. Pozostanie jednak kaleką na całe życie, gdyż stracił wzrok na zawsze.

ROZPRAWA SĄDOWA.

W dniu wczorajszym za tą zbrodnię odpowiadał Rokicki przed bydgoskim Sądem Okręgowym, na sesji wyjazdowej w Inowrocławiu. Pod eskortą policji wprowadzono na salę rozpraw młodocianego zbrodniarza, który zajął miejsce na ławie oskarżonych, przed nim zajął miejsce jego obrońca adw. dr. Müller-Czarnek. Galeria zapelniona po brzo gi przez publiczność.

Na pełną ciszy i skupienia salę wchodził trybunał, w osobach przewodniczącego wiceprezesa S. O. Sechowicza i sędziów wotantów: s. o. Gajewskiego i s. g. Smockiewi-

cza. Miejsce oskarżyciela publicznego zajmował podprokurator Dietrich. Na stole sędziowskim leżały dowody rzeczowe, w postaci rewolweru bębnekowego.

ZEZNANIA OSKARŻONEGO.

Po sprawdzeniu personalji i odczytaniu aktu oskarżenia, na zadane przez Sad pytania, oskarżony do winy się nie przyznaje twierdząc, że Gościńnik w zamiarze samobójczym sam się postrzelił.

W toku rozprawy ujawnia się zakulisowe życie oskarżonego. Rokicki pomimo młodego wieku przeszedł już w swym życiu lar-dzo dużo.

Następnie przystąpiono do przesłuchania 23 świadków. Jako główny świadek oskarżenia, poszkodowany 18-letni St. Gościńnik nie pamięta żadnego fragmentu z krytycznego dnia, jak również nie pamięta kto, kiedy i gdzie go postrzelił (są to skutki postrzału). Zaprzecza jedynie twierdzeniom oskarżonego jakoby miał mówić kiedykolwiek o tem, że chce popełnić samobójstwo.

Św. dr. Leon Znaniecki stwierdza, że oskarżony leczył się u niego na chorobę weneryczną. Św. Józef Koniecznyński zeznaje, że krytycznego dnia wieczorem przechodząc obok ulicy Plebany usłyszał strzał i w tym momencie spostrzegł uciekającego Rokickiego. To samo zeznaje 14-letni Florjan Nowak, który zaledwie w 8 metrach od miejsca zbrodni obserwował z za słupa telegraficznego oskarżonego, twierdząc ponadto, że widział jak Rokicki wydobywszy z prawej kieszeni

rewolwer wystrzelił w sprawę skroń nie-szczęśliwej ofiary.

ZABIŁEM GOŚCINIKA, TERAZ MNIE POWIESZĄ!

Św. Ludwik Olejniczak zeznaje, że będąc krytycznego wieczora na zabawie w Świetlicy Z. S. przy ul. Podzamcze przyszedł tam w nocy Rokicki i mówił do świadka: „zabiłem Gościńnika a teraz mnie powiesz, jeżeli on będzie żył, to dostanę tylko kilka miesięcy”.

Po przesłuchaniu jeszcze kilkunastu świadków, którzy nic nowego do sprawy nie wniesli, przesłuchano rzeczoznawcę dr. Błażka, który stwierdził, że Gościńnik wzroku nigdy już nie odzyska.

WYROK.

Po zamknięciu przewodu dowodowego zabrał głos p. prok. Dietrich i reasumując ze zeznań świadków, scharakteryzował obraz życia oskarżonego, żądając w końcu surowego ukarania zbrodniarza.

Skolei przemówił p. adw. dr. Müller-Czarnek, wnosząc o uwolnienie oskarżonego od kary. Po replice oskarżyciela publicznego z obroną, sąd udał się na naradę.

Po 40-minutowej naradzie Trybunał wydał wyrok, skazujący zdegenerowanego zbrodniarza na 4 lata więzienia, z zaliczeniem aresztu śledczego.

Oskarżony podczas trwania rozprawy, jak również po wyroku zachowywał się spokojnie.

Żydzi popełnili milionowe nadużycia w przemyśle naftowym

Lwów (PAT.) Prasa donosi o aresztowaniu 4 poważnych przemysłowców pod zarzutem milionowych nadużyć. Jeszcze w r. 1931 sp. akc. rafinerji i kopalni nafty dr. Segila w Nadwórnej ogłosiła niewypłacalność. Pasywa wynosiły 10 mil. zł. Zarządcą masy konkursowej został mianowany adw. Tanenbaum ze Stanisławowa. Adwokat ten wdzierzał rafinerję i kopalnię przemysłów Taubemu i Petrankielowi którzy przyjęli do eksploatacji kopalń bogatych kupców ze Stanisławowa, Szepira, Elstera i Seinfelda. — Z końcem ub. roku dr. Segila zawiadomił sąd że doszło do jego wiadomości, iż Tanenbaum nie spełnia należycie swoich obowiązków

sąd odebrał przeto Tanenbaumowi zarząd i powierzył go inż. Sulimirskiemu ze Lwowa. W toku odbierania agend, ten ostatni stwierdził olbrzymie braki i nadużycia i zawiadomił o tem sąd konkursowy. Sąd wezwał Tanenbauma, lecz ten przedtem już zbiegł ze Stanisławowa i uciekł, prawdopodobnie do Wiednia. Wysłano za nim listy gończe. Śledztwo w tej sprawie prowadzi sędzia Rintel. — Onegdaj sędzia Rintel polecił osadzić w areszcie śledczym przemysłowca Taubema o z kupców Szapirę, Alstera i Seinfelda. — Suma popełnionych nadużyć przekracza podobno milion złotych.

Staruszek powiesił się na drucie

Gniezno. W Targowej Górze (pow. Gniezno) wydarzył się niezwykle wypadek samobójstwa, który do głębi poruszył wszystkich mieszkańców tamtejszego domu starców.

Otóż jeden z lokatorów domu, 75-letni Jan Raczyński, zmęczony był od dłuższego czasu do życia. Powodem tego był znacznie posunięty rozstrój nerwowy.

W czasie nagłego ataku nerwowego, pobiegł staruszek na strych i nim domownicy się zorientowali, powiesił się na cienkim drucie.

Gdy jeden z domowników przyszedł na strych, zauważył wiszącego na drucie. Cała postać starca była skąpana we krwi. Jak się później okazało, drucik przeciął starcowi krtań, powodując natychmiastową śmierć.

Śmiertelne zatrucie sardynkami

Bydgoszcz. Onegdaj wieczorem przywieziono karetką pogotowia ratunkowego do Szpitala Miejskiego 19-letniego Franciszka Kłewicza, zamieszkałego przy ul. Terasy 8. Lekarz stwierdził u przywiezionego ciężkie zatrucie. W wyniku dochodzeń ustalono, iż Kłewicz otrzymał od kogoś kilka puszek sardynki, które z matką w ub. wtorek spożył. Kilka go-

dzin po spożyciu sardynek zachorował wraz z matką wśród wyraźnych objawów zatrucia. Chorych wczoraj przewieziono w stanie groźnym do szpitala. Mimo energicznych zabiegów lekarskich Kłewicz zmarł wczoraj w nocy. Matka jego w dalszym ciągu w stanie b. groźnym przebywa w szpitalu. Istnieje jednak nadzieja utrzymania jej przy życiu. (x)

Kredyty pod zastaw zboża

Jak już donieśliśmy, Bank Polski uruchomił 30 milionów zł, przeznaczając je na pożyczki dla rolników pod zastaw zboża. Uruchomienie tego kredytu ma na celu zapobieżenie nadmiernej podaży zbóż zaraz po żniwach, daje bowiem możliwość uzyskania pod zastaw zboża pożyczki, spłacalnej ratami tak, że rolnik może sobie spokojnie sprzedać żyta odłożyć.

Z tych 30 milionów 24 miliony przeznaczono dla wielkiej własności. Jest to t. zw. kredyt rejestrowy na zastaw zboża. Natomiast 6 milionów zł przeznaczono dla małej własności jako t. zw. kredyt na zaliczkowanie zboża.

Kredyt rejestrowy oprocentowany jest na 4 i trzy czwarte procent w stosunku rocznym, oraz pół procentem sumy pożyczzonej, składanym jednorazowo na koszt administracyjny. Kredyt na zaliczkowanie zboża, a więc kredyt dla małej własności rolnej oprocentowany jest na 4 i pół procent bez żadnych dopłat. Instytucje, rozprowadzające te kredyty między rolników otrzymywać będą z min. skarbu dopłatę za pożyczki dla wielkiej własności w wysokości 2 procent, dla małej własności trzy procent tytułem zwrotu kosztów manipulacyjnych.

Rolnicy wielkiej własności przy staraniu się

o kredyt rejestrowy muszą przedłożyć instytucjom, w których zabiegają o pożyczkę, poświadczenie urzędów skarbowych co do wysokości podatkowych zaległości. Te zaległości będą im od razu przy wypłacaniu pożyczki strącane. Jednakże potrącenie nie może wynosić więcej, jak czwartą część sumy pożyczzonej.

Mali rolnicy mogą się o pożyczki te starać w bankach ludowych, w kasach pożyczkowych i w kasach komunalnych.

Wobec tego, że w roku bieżącym z powodu nieurodzaju ceny zbóż powinny się znacznie podnieść, że więc rolnicy powinni czuwać nad tem, by się sami nie przyczynili do obniżenia cen zbóż przez nadmierną ich podaż w pierwszych tygodniach po żniwach. Jest rzeczą bardzo wskazaną, by wszyscy rolnicy wykorzystali przyznane przez Bank Polski kredyty, o których wyżej była mowa. To, jak wspomnieliśmy, umożliwi im załatwienie najpilniejszych wydatków i pozwoli im wstrzymać się ze sprzedaży zboża na pewien okres czasu, kiedy ceny się ustala. Jeśli w pierwszych tygodniach nie będzie nadmiaru zbóż na targu, to ceny zbóż powinny pójść dość znacznie w górę.

jalnego dziecka. W czasie licznych podróży Warszawy i Krakowa, pani Curie często podkreślała swą miłość do prawdziwej ojczyzny.

Niemniej ciekawem jest pytanie, które stało się sobie zadawano. — Jaka zasługa w odkryciu radu posiada Piotr Curie, a jaka jego żona? Sama pani Curie napisała kiedyś, iż mąż jej jest nieśmiały i zamknięty w sobie o małej imaginacji. Przez całe 12 lat pozostawał on w szkole fizyki, jako kierownik laboratorium, z pensją większą, niż prostego robotnika. Trzeba więc sobie zadać pytanie czy bez żony swej doszedłby kiedyś do tak wspaniałych rezultatów. Bez wątpienia nie. Z drugiej jednak strony, że wszystkie prace Piotra Curie przyczyniły się ogromnie do powodzenia, to nie ulega kwestii. Właściwie domem jest, jakim wielkim respektem otaczał Piotr żonę. Przecież nazwał nawet w pierwszej chwili swe odkrycie „polonium” zamiast „radium”, jak potem zmieniono. Było to na cześć tej która jednocześnie była mu żoną i towarzyszką pracy.

Nie bez przyczyny więc wszystkie kobiety świata dumne są ze sławy pani Curie. Była ona najświatlejszą kobietą, profesorka uniwersytetu i członkiem Instytutu Medycznego. Poza tem w ciągu całego życia należała do zwolenniczek feminizmu, nieraz bojowego — walczyć o prawa swych siostr. Wielkie życie, skromne i heroiczne pani Curie — Skłodowskiej pozostanie na zawsze przykładem i wielkim środkiem propagandowym dla wszystkich zwolenniczek ruchu feministycznego.

Tylko karę śmierci przewiduje uchwalona już austriacka „ustawa dynamitowa“

Wiedeń (Tel. wł.) Na killogodzinnem posiedzeniu rady ministrów pod przewodnictwem kanclerza Dollfussa uchwalono w czwartek cały szereg ustaw. Między innymi zapowiedzianą ustawę dla zwalczania politycznych aktów gwałtu.

Ustawa przewiduje za wszystkie przestępstwa z materiałami wybuchowymi, względnie za samo niedozwolone posiadanie takich materiałów oraz za szereg innych ciężkich zbrodni przeciwko bezpieczeństwu komunikacji i przedsiębiorstw użyteczności publicznej tak w sadach doraźnych jak i w postępowaniu zwykłym, tylko karę śmierci.

Po ogłoszeniu ustawy dany będzie 5-dniowy termin dla zgłoszenia ewentualnie posia-

danych materiałów wybuchowych, przyczem przy takim dobrowolnym zgłoszeniu zapew przy takim dobrowolnym zgłoszeniu zapew na bezkarność.

Wiedeń (Tel. wł.) W Wolfsberg w Karyntji rzucił jakiś nieznany osobnik granat ręczny przez okno do mieszkania komendanta Heimatschutzu Leeb'a. Wybuch zdemolował całe urządzenie, raniąc kilka osób. (Ł.)

Wiedeń (PAT.) Prezydent Miklas mianował generała-majora Zehnera, komendanta czwartej brygady sekretarzem stanu przydzielonym do kanclerza Dollfussa w charakterze jego zastępcy dla spraw ministerstwa obrony krajowej.

Harcerze budują bazylikę morską

Gdynia (PAT) Drużyna harcerzy im. Kilińskiego z Brześcia nad Bugiem rozpoczęła dziś pracę przy budowie Bazyliki Morskiej w Gdyni. 30 chłopców z łopatami w dłoni zabrało się do robót ziemnych w miejscu, gdzie ma stać Bazylika Morska. Każdy harcerz pracować będzie 6 godzin, drużyna da więc razem 200 godzin ofiarnej pracy.

Przykład godny naśladowania niewątpliwie spowoduje dalsze zgłoszenia do pracy nie tylko harcerzy, lecz innych organizacji miejscowych i zamiejscowych, przebywających na wycieczkach. Drużyna harcerzy ze Śląska, obozująca w Gdyni w najbliższych dniach ma również przystąpić do pracy.

Straszną śmierć wskutek nieuwagi starszych poniósł w okolicy Saarbrücken 6-letni synek pewnego włoskiego, który wypił butelkę kwasu solnego, przypuszczając, że chodzi o alkohol.

Zona, matka feministka i uczona

Wieki żywot i cichy zgon Marii Curie - Skłodowskiej

Oto artykuł paryskiego publicysty oddającego hołd wielkiej uczonemu, której druga ojczyzną była Francja. Znamienne jest podkreślenie głównej roli Marii Skłodowskiej w odkryciach obojga małżonków Curie

Paryż, w lipcu.

Długo jeszcze zastanawiać się będą ludzie, czy sława jej, raczej winna napędzać dumę zwolenniczki feminizmu, czy też ludzkie Dzieje współczesne nie często oglądają, o której tak zdecydowanie łączyłyby się talent, geniusz kobiety, która, choć cudzoziemka potrafiła wżyć się w ducha swej nowej ojczyzny i dojść do tak wielkiej, światowej sławy.

Teraz z chwilą, gdy imię jej przeszło do nieśmiertelności stało się jedynie wspomnieniem moge pochwalić się, że znałem ją. Znałem ją, to znaczy, że rozmawiałem, mam kilka zadedykowanych przez nią fotografii i to wszystko. Nie często udzielała wywiadów. Nie dlatego, aby miała jakiś wstręt do dziennikarzy, lecz po prostu przez skromność. Gdy w przeddzień otwarcia nowych pawilonów w Instytucie przy ulicy Pierre Curie wykłady jej stały się prawdziwą światową atrakcją i ścigały masy ludzi, poważnie zastanawiała się, aby je skasować lub uczynić dostępnymi jedynie dla studentów. Rozgłoszono ją, nie rozumiała wartości handlowej swego prestiżu.

Pozatem cechowała ją pogarda dla luksusu i snobizmu, oraz pewna oziębłość dla całego powojennego świata. Skarżyła się często na obecne obyczaje i gdzieś, kiedyś nawet napisała: „Nasze społeczeństwo przepojone pragnieniem zbytku, zabaw i bogactw nie pojmuje wartości

nauki. Ani władze, ani współczesne pokolenia nie dają uczonym i wiedzy tego oparcia, jakiego wymaga naprawdę owocna praca. Czyż możemy więc myśleć bez smutku o tem niszczeniu bezpożytecznym największych wartości świata i sił najlepszych jego dzieci“.

A przecież osobiście nie miała powodu skarżyć się na to społeczeństwo, które w ciągu całego życia zasypywało ją zaszczytami! Nie tylko we Francji, ale we wszystkich częściach świata, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, popularność jej rosła z dnia na dzień. Już w roku 1921 kobiety Amerykanki, na wieść o małym nastąpić przyjeździe pani Curie do Stanów Zjednoczonych, rozpoczęły zbiórkę na zakup grama radu, który potem został wręczony uczonemu w obecności prezydenta, w Waszyngtonie. W czasie tej podróży przyjmowano ją wspaniale i była przedmiotem niemiłkających owacji. To samo powtórzyło się w osiem lat później w roku 1929, kiedy to, podczas swej następnej podróży, uczona otrzymała czek na 50 000 dolarów, celem zakupu nowego grama radu.

Jak wiadomo prawdziwym nazwiskiem ni Curie jest Skłodowska. Z pochodzenia jest Polką, urodzoną w Warszawie. W wieku 28 lat wyszła za mąż za Piotra Curie. Często zapytywano ją czy czuje się Polką czy też Francuzką, a więc czy sława jej spada na naukę jednego lub drugiego narodu. „Jestem Francuzką — odpowiadała — przez moje obywatelstwo i mam sympatię do mej nowej ojczyzny. Nie zapomnę jednak swego pochodzenia, mej pomysłowości i psychologii słowiańskiej, której wiele zawdzięczam w życiu“.

Polka nigdy nie wyrzekła się swego gen-



ŚWIĘTO „DNIA MŁODZIEŻY“ WE WŁOSZECH. W ostatnich dniach odbył się pod Rzymem kilkudniowy zjazd młodzieży włoskiej z okazji święta „Dnia Młodzieży“. W zjeździe wzięło udział 5 000 awangardzystów. Brama wejściowa zrobiona była w formie olbrzymiego topora faszystowskiego.

Z Warszawy do podnóża białych gór afrykańskich

Oto ulokowaliśmy w jednym przedziale kolejowym w sposób nader przemyślny dwadzieścia kilka waliz, i wreszcie opuszczamy wieczorem 4 czerwca Kraków, który był punktem zbornym naszej ekspedycji. Z wielkim zadowoleniem wewnętrznie konstatuje, że już w końcu wszelkie przygotowania zostały ukończone, że właśnie już jestem wolny i mam prawo spać osiem godzin zamiast czterech i że właśnie bardzo, ale to bardzo przyjemnie jest spać w wagonie kolejowym. Ledwo zdażyłem zmrzyć oczy, następuje kontrola biletów, a potem w odstępach, jak mi się zdaje minutowych, jedna kontrola graniczna i zaraz druga kontrola graniczna, a potem znowu kontrola biletów i znowu kontrola graniczna, i jeszcze raz kontrola graniczna i stałe jakieś pieczątki i wykazy przewożonych pieniędzy, i jeszcze raz konduktor kolejowy i potem to już Wiedeń i austriackie paplerosy, i fura kłopotów z jeszcze większą furą bagaży.

W Wiedniu zatrzymujemy się dzień cały dla uzupełnienia ekwipunku. Miasto widziane w migawkę dwudziestu kilku godzinnej włóczęgi poprzez ulice, place, parki i kawiarnie wydaje mi się poprostu cudne. — Niewiarygodny wprost rozwój budownictwa municypalnego — dziesiątki olbrzymich bloków mieszkalnych o prostych, przyziemnych do patrzenia liniach — Katedra św. Stefana tak piękna w gestym mroku światła leniwie przesaczającego się poprzez witraże i tak zespęcona oświetlającymi ją elektrycznymi kulami. — Katakumby wiedeńskie, nie fałszowane jak paryskie — pozbawione efektu teatralności — zgnilizna i stosami resztek trumien i kości uczące jak bardzo warto gdy się żyje — żyć! — Dunaj tak niespodziewanie wąski w porównaniu z podwarszawska Wisłą — Gdzieś w parku, w monumentalnym obramowaniu kamiennych arkad i balustrad, głęboko w dole mizerny strumyczek — nieco pałatającej się wody. Szalona dysproporcja między potrzebą a czynem tak zazwyczaj skrupulatnych rak ludzkich, uroczą w swoim braku sensu — Oczy uwiedzione bogactwem wystaw antykarskich za drobne grosze i szylingi każą kupować i kupować. — I jeszcze jedno, najważniejsze, to ten „klimat“ ulicy wiedeńskiej, nadający właściwą barwę banalnemu powiedzonku — Wiedeń, miasto moich marzeń.

Następnego dnia rano wyjazd z Wiednia. — Przejazd przez Semmering mający specjalny smaczek dla ludzi gór. I leż ich jest na naszej trasie! I nie są one dla nas jak dla przeciętnego podróżnika — tylko pięknym pejzażem. Mała wymowa swych szczytów, ścian i grani — są krótko mówiąc — nasze.

Po Semmeringu wciąż dalej i dalej, coraz to nowa rozkosz dla oczu. Wreszcie dolina rzeki Fejli wyprowadza nas na coraz monotonijszą równinę, której widoku nie mogą uroznać po mimo największych wysiłków ze swej strony. Płaczący się wszędzie, wszędzie panowie w najróżnorodniejszych mundurach. To już Włochy, i nie wolno o tem zapominać, że na kilkanaście godzin wyraz makaron ma być wyrażonym z naszego słownika.

Gdy wyleździemy na równinę można wreszcie usiąść i odpocząć po ciągłej bieganiu od jednego do drugiego okna, w przez szerokość wagonu. Te kilka metrów tykoćtnie przebieganych przez tyle godzin — to wcale nie najgorszy spacer.

A późnym wieczorem znowu Wenecja. Godzina spędzona na placu św. Marka. Szeregi domów, które nie są domami a dekoracją z jakiejś opery czy filmu. Miasto — chyba jedyne na świecie, które w wieku dwudziestym jest absurdem — absurdem w którym chciałoby się tkwić całe życie.

Jeszcze rankiem potężna monumentalność medjołańskiego dworca, później genueńskie domy splecione jeden na drugim i cała Riviera taka jakaś piękna, ale i taka jakaś bardzo mdła. Tu wiem napewno, że nie chciałbym mieszkać.

W końcu Marsylia, gdzie koniecznie musi się spróbować sławnej bouillabesse i gdzie koniecznie musi się zobaczyć rue Cannebiere. Sławny dowieć, że Paryż byłby mała Marsylia, gdyby miał Cannebiere okazując się zupełnie marnym dowieć. Co zaś do bouillabesse to zupa jest zawsze zupa a ryba ma zawsze ości. Dla nas najciekawsza rzecz w Marsylii jest bodajże ta odrobina egzotyizmu, tak charakterystyczna dla portowego miasta. Różnokolorowe twarze i różnorodne stroje dają nam przedsmak tego co czeka nas dalej na południu.

Obowiązująca wizyta w Chateau D'Iff, połączona z małą przejażdżką po morzu, ma specjalnie uroczysty charakter dla dwu z pośród naszego grona, jako pierwsze ich zetknięcie się z morzem. Niewielka fala, łagodnie kołysząca motorówką pozwala im spodziewać się że wilk nie taki groźny jak go malują i że jakoś to będzie z tą chorobą morską. Rzedną im nieco miny, gdy przekornie zapewniam iż nikomu nie uda się wymknąć i każdy z nas złoży należną Poseidonowi daninę. — Chateau D'Iff gościło w swoich murach wielu dostojnych więźniów. Oglądamy między innymi celę Jana Kazimierza. Doprawdy, w ciasnych uliczkach starego portu widzi się gorsze dziury od tych, w których pokutowali prince Casimire, Filip Egalité i Żelazna Maską.

Mija znowu dzień pracowicie spędzony na zakupach i w końcu dnia 9 czerwca opuszczamy Europę na pokładzie statku Dienne. Opuszczamy ją jednak niezupełnie, gdyż niczem innym jak Europą jest nasza druga klasa w przeciwieństwie do miejsc pokładowych na dziobie statku, które techna gorącym słońcem Afryki. Tam, pod szeroko rozpiętą płachtą żaglowego płótna siedzą dostojne marokańskie matrony o twarzach zupełnie pomarszczonych, otoczone gwarnym rojem uganiających się Arabiat, które wszędzie muszą zająć i wszystko spenetrować.

Piękny słoneczny dzień i wygodny leżak pokładowy sprzyjają słodkiemu lenistwu. Od czasu do czasu, zdala na horyzoncie widnieją skąpany w słońcu jakieś cypel hiszpańskiego lądu. Co kilka godzin wzywa nas dźwięk gongu do sali jadalnej, gdzie nie ma końca i wypija całe galony wina w myśl zasady — na statku należy jeść jeszcze raz eść. Zresztą niebezpieczeństwa narazie niema żadnego. Morze zaledwie drobna fala zmarszczone i kołysania nie odczuwa się zupełnie.

Powoli zawiązujemy stosunki towarzyskie z innymi pasażerami. Pierwsze zbliżenie następuje przy próbach określenia charakteru naszej ekipy. Tu biera nasza dziesiątka w pierwszej chwili za drużynę piłki nożnej, tak jak później w Marrakechi, gdyśmy wyladowywali z autobusu sterety walizki wzięto nas za filmowców. Dla dalszego zbliżenia narodów ponosi olbrzymie zasługi włoszka obdarzona wybuchowym temperamentem, tańcząca we Francji i śpiewająca hiszpańskie piosenki.

Dopytujemy się o Marokko. Niektórzy z jadących spędzili tam cały szereg lat. Słyszymy stale: goraco w głębi lądu bardzo goraco, niema mowy o tem by pracować w południe. Poza tem moskity, skorpiony. W głębi kraju stosunki jeszcze nie zupełnie pewne. Nie tak dawno nastąpiła marszałka Lyanteay'a pozwolił iechać swym dwóm siostrzenicom pomimo rad otoczenia bez eskorty wojskowej. Skutek był tego rodzaju, że następnie kampania przeprowadzona w celu od-

bicia ich z niewoli kosztowała rząd francuski kilka milionów franków.

Późnym wieczorem dopiero opuszczamy salon. Cały następny dzień znowu słońce i rozleniwiająca monotonia jednostajnego horyzontu, spokój i długie długie rozmowy. A wieczorem i późno w noc huczna zabawa na pokładzie, zaś wczesnym rankiem budzi się każdy ze świadomością, że coś się dzieje, że coś jest, aha! to maszyny przestały pracować. Jedyne przystanki po drodze — międzynarodowe miasto Tanger.

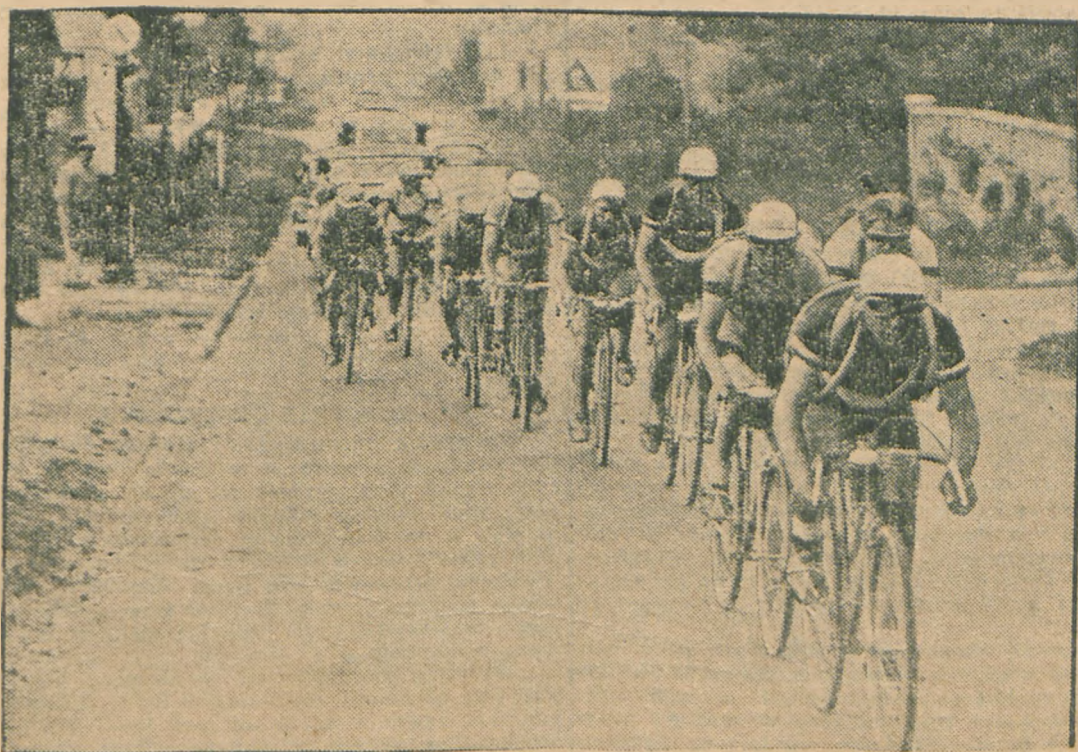
Spokojne Morze Śródziemne już skończyło się i teraz pokazuje nam swoje pazurki Atlantyki. Długa fala wywiera niepokojący wpływ bezpośrednio na okręt a pośrednio na pasażerów, których liczba przy stole wyraźnie się zmniejszyła. Temperamentna włoszka zaczyna i natychmiast kończy obiad jednym bananem. Fascynująca ananaski również prędko ucieka od stołu. Casablanca staje się dla wszystkich upragnioną Mekką. Nawet dla nas, choć wychodzimy z opresji używając omówienia obronna reka.

Casablanca widziana od strony morza jest rzeczywiście biała. Białosc jej jest białoscia kruk na tle tak frywolnej zazwyczaj terminologii słownika geograficznego, lansującego wszelkiego rodzaju Czerwone Morza i Suche Wody. Położona nad oceanem ma klimat nie uciążliwy dla Europejczyka a będąc największym portem Marokka skupia w sobie większość jego interesów. Stąd znaczna zamożność niewielkiego zresztą miasta wyrażająca się chociażby liczbą pojazdów mechanicznych przekraczająca ilość samochodów w całej Polsce. Autobusy, samochody, rowery i osły zapełniają jej ruchliwe ulice mieszając się z tłumem przechodniów zarówno na szerokich ulicach nowoczesnego miasta jak i na krętych, ciasnych uliczkach dzielnicy arabskiej, czy ghettu.

Dzięki interwencji Pana Konsula Radziwiłłowskiego oraz Pana Prezesa Sekcji Marokańskiej C. A. F. — przeszliśmy cało po przez rewizję celną, gdzie zresztą jeden z pakunków zawierający czekany wzbudził pewne podejrzenia. Zabardzo wyglądał na ładunek karabinów maszynowych.

W Casablance rozdzieliliśmy się na jeden dzień. Dwu z pośród nas pojechało do Rabat w celu doręczenia Rezydentowi francuskiemu listów polecających resztą udała się do Marrakech'u autobusami o wiele wygodniejszymi i tańszymi od komunikacji kolejowej. Autobusy takie pokrywają przestrzeń Casablance — Marrakech wynoszącą około 250 km. w niewiele więcej niż cztery godziny osiągając na odcinkach prostych w regularnej komunikacji niewiarygodną w porównaniu do stosunków w Polsce szybkość 95 kilometrów na godzinę i są przytem fenomenalnie tanie. Koszt takiego przejazdu wynosi zaledwie 30 franków, to jest około dziesięciu złotych!

A z Marrakech'u droga nasza prowadzi już prosto w góry.



Z WYŚCIGU DOKOŁA FRANCJI.
Złota grupa zawodników na drugim etapie „Tour de France” między Lille a Charleville.

CUDZOZIEMIEC OPOWIADA NAM O HUCULSZCZYŹNIE.

Zemsta kosówek

Napisal H. Zbinden.

Zręby, stromo opadające z szerokich kopuł Czarnohory ku gęstym lasom, pokryte były niegdyś gęstym płaszczem kosodrzewiny. Jak elastyczny, podatny pancerz chroniły one cienką warstwę ziemi przed nawałnicami srożącymi się tutaj z wielką siłą.

Pewnego dnia stwierdzono wysoką zawartość terpentyny w igłach kosodrzewiny. Wnet znalazło się kilku przedsiębiorczych ludzi, którzy zbudowali w dole, poniżej lasów świerkowych, w miejscu, gdzie strumień ciałym wąwozem opuszcza wzgórze, „fabrykę” terpentyny. Tam, gdzie niegdyś wicher świszcząc kołysał ciemnozielone kosówki, śpiewały teraz pily i siekiery swą ostrą twardą pieśń; pokotem padały kołyszące się wierzchołki i związane w grube wiązki znikły w czeluści fabryki.

DAREMNE OSTRZEŻENIA.

Daremnie potrząsali z oburzeniem głowami pasterze, przypatrujący się temu z góry; daremnie ostrzegali botanicy. Chciwie wżerał się topór we wspaniałe płaszcze, rozywał go i strzepił ze wszech stron i wrywał drzewa z korzeniami. Jak olbrzymia brunatna rana leżał poszarpany nagi granit. W dole dymił *myski żelazny komin*. Dzień w dzień zwodziły konie w dolinę naczynia z aromatycznym sokiem zielonych igieł.

Bolesnie kurczyły się teraz serca pasterzy, którzy lekkomyślnie sprzedali przedsiębiorcom kosówki za śmieszna cenę. Bezradnie przyglądali się dziełu zniszczenia.

Pewnego wieczoru z poza szczytów nadciągały ciemne chmury. Z szumem potrząsając pięścią, przebiegł osławiony czarnohorski wicher po zrębach i wstrząsnął wysokimi wierzchołkami smereków aż się ugnieły żółta trawy.

Spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Błysnęło. przyłoczone gromem rozwarły się chmury i strumieniami lunęła ulewa. W mgnieniu oka zrab góry zmienił się w nieskończony strumień pniących się bulgocących fal.

DZIEŁO HURAGANU.

Z szumem otoczyły się w dolinę, porywając ze sobą ziemię i kamienie. Coraz wścieklej szaleje nawałnica. Tam, gdzie rozpościerały się lasy kosodrzewiny, rozbrzmiewa szum burzy w koronach drzew, które potężnie kołyszą się na sprężystości wygiętych pniach. A tam, gdzie przechodzi z góry nadół szeroka wyrwa, panuje niesamowita cisza. Tylko dziwne bulgotanie wypełnia powietrze. Klaszcząc bije wiatr ziemię potokami wody, która głębiej i głębiej przenika grunt. — Robotnicy spieszą nieckli, niektórzy zdążyli do chatki, gdzie obecni dziś przypadkowo właściciele oczekiwali końca burzy. Nagle — co się stało? Rozlega się stłumiony w środku krzyk — czy to złudzenie? Wdaje się jakby potężny stromy zrab

przybliżał się zwolna, zwolna, z jego nagiego rozdartego łona tryska wielkimi strumieniami brunatny sok, jak krew góry. Ponury szum i tętnoty burzy gęszą bardzo bliskie, dzikie zduszone okrzyki. I jak szeroki gęsty strumień larwy rozlewa się rozjuszony zrab i toczy z niesamowicie rosnącą szybkością w dół, prosto do miejsca, gdzie u wejścia do wąwozu stoi duży budynek fabryczny.

Już go dosięgnął, z bulgoczącym trzaskiem nśwa go z ziemi jak zabawkę, wysoki komin drży, trzęsie się, kładzie się nabok i w kilka sekund znika komin i budynek wraz z ludźmi w potokach wody; dzieje się to upiornie, bezdźwięcznie, gdwz ryk burzy i grzmoty pochłaniają wszelkie inne szmery. Głęboko w przepaści ukazują się na chwilę szczątki dachu, belki płyną na falach, uderzają o siebie postrzępione pnie, kłody toczą się dziko i haotycznie w dół.

Wtem ukazują się głowy człowieka, który uczipiony do złamanego młodego smereka usiłuje rozpaczliwie utrzymać się na falach. Uda mu się utrzymać na zwisającej galezi, wyprostowując się z trudem i wydobywa z pędzących za nim fal, które nabrzmiewając wciąż wyżej i wyżej wypełniają wąwóz.

Z innych ludzi nie odnaleziono śladu. Pasterze odratowali pozabawionego sił, drżącego i zaprowadzili go do koliby.

OLBRZYMA SZCZELINA.

W godzinę później deszcz przestał padać, otwiera się jasne niebo, jasno świeci wieczorne słońce w dolinie. Milcząc stoją pasterze na brzegu wąwozu. Tam, gdzie dymila się fabryka rozciąga się teraz rumowisko odłamków, błota i gruzu poprzez całą szerokość doliny. Nic nie widać, kotły, maszyny, mury, ściany *pchloneła góra*. Patrzą w górę. Burza wywarła w zboczu górskim olbrzymią szczelinę, która rozwiera się jak głębokie piętno, złomy skalne i nagie kamienie występują nawierzchni.

PO SIĘDMIU LATACH.

Siedem lat minęło odtąd. Stoimy na miejscu, gdzie góra, pozbawiona ochronnego działania kosów i ich korzeni obsunęła się w dół. Jeszcze dziś ledwie zabliźnione rozciąga się nieznierne rumowisko, skąd tu i ówdzie wytryska zarośnięte źródło. Po obu stronach rozpościera się ciemnozielone kosówki swe miękkie gęste płaszcze.

„Góra ukarała ich” — opowiada towarzyszący nam Hucul, który opowiada nam zdarzenie. Jest to ten właśnie, który *tylko przetrwał katastrofę*. A nasz przyjaciel, botanik i zacieklej pionier ochrony przyrody w Polsce, który od lat prowadzi gorącą walkę z trzebieniem lasów na Czarnohorze, ze złośliwą satysfakcją dodaje po chwili: „Tak tak, zemściły się kosówki”.

Odpust nad Czeremoszem

Cóż może być bardziej poetycznego, niż odpust nad Czeremoszem, w sercu Huculszczyzny.

Setkami schodzą się w swych barwnych strojach najpiękniejszych i najciemniejszych jakie kryje stara rzeźbiona skrzynia. Wysoko nad rzeką, na której falach zazwyczaj kołyszą się tratwy smerekowe, wznosi się na zielonym zboczu stara drewniana cerkiewka. Drewniane ściany połyskują złotem i ciemnym bronzem w promieniach jesiennego słońca.

CO MOŻNA KUPIĆ?...

Mala ścieżynka prowadzi poprzez wąskie zarośnięte krzakami łożysko strumyka do bramy cmentarnej. Panuje tu niezwykle ścisła, można nabyć wszelkiego rodzaju drobnostki, *amulety i różańce, kolacze, fujarki et c.*

Chłopcy próbują z zapalem fujarek, próbują długo, zanim zdecydują się na kupno, a tony fujarek witają nadchodzących jak wesole, ćwierkające pozdrowienia. Obok w cieniście gaju rozłożyło się kółko, ze środka rozlega się głos skrzypiec i cymbalów.

W CERKWI I KOŁO CERKWI.

Wszędzie, po całym cmentarzu ogrodzonym parkanem, stoją całe grupy mężczyzn i kobiet. Schodzą wejściowe do cerkwi zapchane są pobożnym ludem. Wewnątrz cerkwi modlą się w ścisłości głowa przy głowie; sine obłoki kadzidła unoszą się dookoła złotych, czerwonych i jasnobłękitnych chorągwi wystających z pośród tłumu. Śpiew faluje, pełno i głęboko brzmią basy męskie, jasno wznoszą się głosy kobiece, srebrzyście dźwięczy dzwonek mszalny.

Wielu kłęczy na trawniku cmentarnym, a potężny, wystający dach wyciąga ku nim jakby chroniącą rękę. Niektórzy z mężczyźni z pięknie falującymi włosami cicho i w dziecięcy sposób zatopieni w modlitwie, przypominają średniowiecznych krzyżowców. Białe i czerwone i szaty błyszczą na tle soczystej zieleni łąk i ciemnego błękitu wrzesniowego nieba.

Zdumiewa i wzrusza *niezwykła cisza*, która panuje pośród wielkiego tłumu, rozciągającego się daleko na łące. Jest to jakby niemal upiorna bezdźwięczność, która trwa nie tylko w czasie nabożeństwa, ale przez cały dzień. Nadaje to ludziom piętno czegoś oddalonego, nierzeczywistego, uduchawia ich i wyjaśnia wszystkie rysy i miny. Wszyscy

chodzą swobodnie niewymuszenie, a w grupach gawędzą, żartują, i śmieją się. Ale nad wszystkim unosi się zadziwiająco wytrzymały spokój, skupienie, jakiego nie obserwowałem nigdy w większych zgromadzeniach. Wielu z ludzi, którzy się witają i ścisną, nie widziało się od lat, mogą to być członkowie jednej rodziny, mieszkający w odległych od siebie dolinach. Odpust jest jednym dniem, w którym wychodzą ze swej samotni. Można by zatem oczekiwać od nich przy tej sposobności jaskrawego wyładowania wrażeń. Ale śnać zabrali ze sobą coś z cizy lasów i z subtelnych szmerów łąk, tak *opanoowane są ich twarze*, tak pobawione słowa, żarty, uśmiechy.

Jakgdyby sami byli postaciami ze snu, którego nikt nie śmie przerwać głośnym okrzykiem. Zazwyczaj skupienie się większych mas wydobywa nawierzchnie właśnie surowsze pierwiastki — tutaj jest odwrotnie: nigdy nie widziałem tak żywo, prawie namacalnie, owej prostej szlachetności i marzycielskiej istoty Huculów, tej najlepszej części ich duszy, jak właśnie podczas odpustu z jego lekko sfalowaną, upiorną ciszą.

Pomyślałem o zbiorowiskach ludzkich Zachodu, o ich hałasie, wrzasku, krzyku, wyzwiskach. Coprawda, to Huculi są właśnie tylko dziećmi...

I stało się, że zapomniałem o tem, iż znajduję się wśród chłopów i zwykłych pastuchów Huculszczyzny.

MARZENIE PRZESZŁOŚCI.

Postacie, które tu kroczyły z prostą dostojnością, posuwając się grupami o czystych, łagodnie skrzęcych się barwach, wydały mi się naraz marzeniem przeszłości, obrazem odległej społeczności i zakorzenionego w naturze ludzkiej nabożeństwa. Bezpośrednio pomyślałem o świętych społecznościach, które stworzyły przecięcie religijnego wizjonera o grubasku późnego dnia, cicho szmerzący w dolinie strumienia, to wszystko było subtelna melodia towarzysząca marzeniom.

Wszystko zasklepiło się w głęboką harmonję wszystko co ciasne, rozdziałające ludzi, dyszące nieważnością, zdawało się, że od tych ludzi odpadło. A wszystko to, co było w nich najpiękniejszego, najczystsze, co ich starodawna tradycja i pobożność *zaczynała* z tych życiodajnych sił, to — zdawało

się — w tych rzadkich godzinach — niezbyt często powtarzających się one nawet na Huculszczyźnie — to rozkwitło w czarownej piękności.

Lud i krajobraz, zwyczaj i współżycie, wyraz twarzy i oblicze wydawały się zjednoczone i zatopione potężnym wspólnym prądem mocy, który otaczał wszystko niewidzialną, nieostrzeżalną ale przecież potężnie działającą mozną falą.

Jakżeż odcinały się na tem tle oblicza starców, mocniej barwniej, ostrzej były dostrzegalne kontury ich pierwotnego osobliwego charakteru, runy ich wewnętrznych indywidualnych losów. Dlaczego znalazłem właśnie tam, gdzie własnowolne indywidualne zróżniczkowanie jest nieznane, gdzie samo w sobie jednolite tło choćby ciasnym i ubogim kieruje życiem i uczuciem ogółu, tyle pełnej mocy i indywidualności prawdziwej osobowości? O tym najprostszym, jak i najbogatszym objawie kultury rozstrzyga poznanie tej prawdy, do której teraz zwolna i z trudem dochodzimy, że największa wybujałość życia indywidualnego, największa dojrzałość osobowości, *prawdziwy rozkwit przewodnictwa* możliwe są tylko na podstawie życia religijnego, które wszystkie części zespala w różnorodną całość.

W wysokiej nawie kościelnej, zalanej złotymi promieniami zachodzącego słońca, lśnią tysiącami światł bogato rzeźbione drewniane drzewiczki krążące przed ikonostasem oddzielające ołtarz od części przeznaczonej dla wiernych. Stoi tam samotnie staruszka, zatopiona w myślach i modłach, z blaskiem w oku spogląda na stare, poczerwiałe ikony, milczące, patrzące ze złoczonych szat; czoło i policzki pograżone w zachwycie staruszek, oblane łagodnym światłem późnych promieni jesiennych, jaśnieją dziwnie jakby odnowione niespodziewaną miłością.

RESZTKI MURÓW DWORSKICH.

Zwiedzamy w pobliżu cerkwi miejsce, gdzie stał niegdyś ostatni wielki dwór pański, który kiedyś należał do rodu Jabłonowskich. W czasie wojny spalili go Rosjanie. Tam gdzie niegdyś pulsowało barwne, bujne życie, gdzie krążyły postacie Foki i innych, rozciąga się trawnik, na który kładą się cienie jodeł i starych buków. Nawpół ukryte w ciernistych zaroślach sterczą jeszcze resztki murów dworskich. W pobliżu zieje otoczone bujnymi krzakami podziemne sklepienie, służące niegdyś opryszkom jako schronienie nie a niekiedy jako więzienie. Żaloba unosi się nad tym przemitym zakątkiem, który, jak pełen treści symbol, przypomina nam powolny i nieuchronny *zanik tej starej, a pełnej prostoty kultury*. Ale, czyż zarazem, po dzisiejszym świecie nie napelnia nas pewność, że te siły, które niegdyś stworzyły ten powoli zanikający świat i do dziś ożywiają go, że te siły, właśnie, coprawda w nowej postaci, wyzwolone z ciasnoty i prymitywizmu obecnych form, o obszerniejszych i potężniejszych horyzontach, niż te, które dają zamierające kościoły i zespoły, zbudują nowe życie, dla naszej walecznej, obecnej naturze i niebu, epoki; są to siły głębokiego zjednoczenia z naturą i wiedzącego do nieba nabożeństwa.

WIECZOREM.

Dzień chyli się ku końcowi. W małych grupach ludzie rozjeżdżają się, rozchodzą wzdłuż rzeki. Daleko widać powracających do domu, gdy ciągną wielkim łukiem wzdłuż Czeremoszu i powoli rozpraszają się po dolinach i wyżynach.

Jeszcze raz w promieniach zachodzącego słońca błyszczą jak złociste kwiaty czerwone i pomarańczowe chustki kobiece, purpurowe płaszcze męskie. Gdzieś zdaleka rozlega się melodia fujarki i miesza się z szumem Czeremoszu, który chłodny wiatr wieczorny roznosi to głośno i grzmiąco, to jak szepczący oddech doliny.

Pielgrzymka dawno minionych czasów. Przeczucie legendarnie odbytej przeszłości...

Ośmiomilionowa emigracja polska jako czynnik gospodarczy

Polska ma — nie trzy — lecz cztery *dzielnice*. Poza trzema dzielnicami Rzeczypospolitej, które zrosły się już w jeden organizm państwowy, istnieje jeszcze czwarta dzielnica — *Polski Zagranicznej* — która, w imię naszej racji stanu, winna być ściślej związana ze swoją Macierzą.

Ośmiem milionów Polaków mieszka poza granicami! Aby zrozumieć całą wymowę suchej tej cyfry, trzeba użyć kilku porównań. Oto — Norwegia liczy niecałe 3 miliony mieszkańców, Szwecja — 6, Finlandja około 4-ch, Danja — 3½, Bułgaria — 6, Portugalia — 6 milionów. Ośmiomilionowa Polonia Zagraniczna, to — potencjonalnie biorąc — spore państwo europejskie. Brak szczegółowych danych statystycznych uniemożliwia uunooczenie potęgi materialnej rodaków z obczyzny, już jednak pobieżne obrachunki wykazują, że siła czwartej dzielnicy jest bardzo znaczna.

Mało komu wiadomo, że oszczędności emi-

grantów przez dłuższy czas były podstawą waluty polskiej. Aby uzasadnić słuszność tego twierdzenia, niechaj nam wolno będzie przytoczyć z urzędowych danych następujące cyfry: W ciągu ośmiu lat od utworzenia waluty złotej, t. j. w okresie 1924/1931, zapotrzebowanie obcych walut (wskutek biernego bilansu handlowego) wynosiło 2.246 milion. zł. Przyływ obcych pieniędzy do kraju pod postacią oszczędności, przesyłanych przez emigrantów, Główny Urząd Statystyczny oblicza na 2.140 milion. zł. A zatem oszczędności zbierane krowawym trudem przez naszych wychodźców, zrównoważyły nasz bilans płatniczy. Dla naszych stosunków walutowych oszczędności te mają znaczenie o połowę większe od wszystkich razem pożyczek państwa i samorządów, które w latach 1924—1931 wyniosły zaledwie 1.530 milion. złotych.

Już te cyfry powinny wystarczyć dla zrozumienia, że troska o wychodźstwo, opieka nad nim i dbałość o jego przywiązanie do kraju ojczystego są nie tylko prostym obowiązkiem narodowym i braterskim, ale i wypływem dobrze zrozumianego interesu gospodarczego Rzeczypospolitej.

Dochodzi tutaj moment bardzo ważny. Polacy zagraniczni mogą stać się wartościowym czynnikiem naszej ekspansji gospodarczej. Co prawda dotychczas udział Polaków, osiadłych zagranicą, w naszej akcji eksportowej był nikły, ale składało się na to szereg przyczyn, częściowo przejściowej natury, które warto zrekapitulować:

Przedewszystkiem należy uświadomić sobie, że nasza emigracja w Iwiej części składa się z robotników rolnych i fabrycznych. Inteligencji polskiej jest wśród niej mało. Kupiectwo, wychodźcze jest finansowo słabe, zaś brak rezerw kapitałowych, niezbędnych dla uprawiania handlu zagranicznego, uniemożliwia odegranie czynnej roli w naszym przy- i wywozie.

Niemniej trzeba sobie przypomnieć, że w pierwszych latach niepodległości emigracja polska okazywała dążność do nawiązania stosunków gospodarczych z Macierzą. Niestety były to czasy powszechnej płynności, kiedy warunki gospodarcze w kraju nie były uregulowane, a powojenna „grynderka” wyniosła na powierzchnię jednostki łakome łatwego, choćby nieczystego zysku. Te właśnie jednostki naraziły liczne rzesze emigrantów na poważne straty. Wreszcie dwie inflacje polskie walczyły się do zrażenia Polonii zagranicznej do interesów z krajem.

Do powyższych motywów nieobecności Polonii zagranicznej w naszym handlu zagranicznym (brak wyrobienia kupieckiego i złe doświadczenia, datujące z pierwszych lat niepodległości), dochodzi motyw trzeci:

W ostatnich paru latach pole działania prywatnych eksporterów poważnie się skurczyło. Międzynarodowe obroty towarowe zostały ujęte w ramy kontyngentu kleszcze ograniczeń standardyzacyjnych i przepisów kompensacyjnych. W tych warunkach swoboda ruchów handlu prywatnego jest z natury rzeczy ograniczona. Dostęp na rynki zagraniczne zdobywa nietylko przedsiębiorczość kupiecka, ale wysiłek państwa, prowadzącego rokowania handlowe.

Jednak, mimo wszystko, uznać musimy Polskę zagraniczną jako bardzo ważny czynnik naszej ekspansji. W miarę wzrostu dobrobytu na wychodźstwie, w miarę zanikania przykrych wspomnień o stratach „starokrajskich”, w miarę normalizowania się stosunków w świecie, znaczenie emigracji polskiej dla naszego handlu zagranicznego będzie rosło.

To też z żywym zainteresowaniem śledzić będziemy obrady Światowego Związku Polaków Zagranicą, którego konstytucyjny zjazd rozpocznie się za niespełna miesiąc w Warszawie, w dniu 5 sierpnia r. b.

Jedną z najważniejszych tez programowych tegoż zjazdu będzie gospodarcze związanie „czwartej dzielnicy” z Macierzą. Będą się toczyły ożywione dyskusje na temat rozbudowy struktury gospodarczej poszczególnych środowisk Polonii Zagranicznej w kierunku ścisłego współdziałania z krajem macierzystym. Przewidywane będą zagadnienia organizacji kupieckiej, jako instrumentu wymiany towarowej, przez rozbudowę istniejących słowarzyszeń i tworzenie nowych (korporacyjne związki kupieckie, hurtownie branżowe i t. p.). Dalej: poruszone będą zagadnienia spółdzielczości, osadnictwa i rolnictwa i t. d.

Jak widzimy, tegoroczny zjazd, nota bene znajdujący się pod protektorem najwyższych dostojników Rzeczypospolitej, będzie zapewne

punktem zwrotnym w dziejach naszego wy-żenie do ekspansji polskiej produkcji na rynki zagranic. Staty rozwój naszego handlu zagra-graniczne, stwarzają poważne możliwości real-nicznego przez porty polskie, rozbudowa na-nej współpracy między Macierzą i wy-szych bezpośrednich linii okrętowych i stałe da-chochództem.

—oOo—

„Europejczykom wstęp wzbroniony”

Jakie niespodzianki spotykają wyprawę w szczytach marokańskich

W Atlasie, obóz nr. 1 — 19. 6. 34.

Marrakech — miasto skąpane w słońcu. — Na olbrzymim rynku popisują się otoczeni barwnym tłumem zaklinacze węzów. — Tuż obok, poważny prorok wsparty na kiju poucza wiernych pomagając sobie barwną mimiką i gestykulacją. — Trzech sterców zawodzi jakiś refren. Czwarty — odpowiada coś wysokim, wibrującym tonem. — Jakiś artysta, zdobiący prostym ornamentem ceramikę. — Setki najrozmaitszych kramów. — Tuż obok cieniste uliczki dzielnic handlowo-przemysłowej — suk'u. Kosze pełne iarzy. Krowiste, rzędem wystawione lby baranie. Jedwabie, płótna, wyroby skórzanego dywany, miejscowe pantofle i setki rzemieślników, pracujących w kramach i przed nimi, na uliczkach. Farbiarze, barwiący w dużych kotłach miedzianych przedzę. Kamieniarze, mozolnie wykuwający żarna. Stary żyd, toczący paciorki na najprymitywniejszym, jaki można sobie wyobrazić, warsztacie, przy pomocy dwu rak i stopy. Łuk i ciężka obracać oś, jakże przypominają pracownika cierpliwość naszych praprzodków, wierzących otwór w kamiennej siekierce. Płatanina uliczek, wśród których nie brak i oznaczonych tabliczką, oznajmijającą, że wejście Europejczykom wzbronione. Niewiarogodne wprost natretwo tubylców, ofiarowujących się za przewodnika, iedyną ucieczką od którego jest oddanie się jedne-

mu z nich w niewolę. Chodzić samemu zresztą trudno, co pięć minut bowiem człowiek błądzi w ślepej uliczce.

Fenomenalna wprost elastyczność cen, jeśli się jest dostatecznie upartym i ma się ochotę przez trzy dni targować. Barwny widok oatrzonych w dzwonki roznościcieli wody i ciekawy kontrast przybranych w długie płaszcze synów pustyni, wymijających w najciaśniejszych zaułkach na rozpędzonych rowerach powolne osiołki.

Późnym wieczorem miasto żyć nie przestaje. Gdy pustoszeje taras cukierni, siedziby ludzi białych, z drugiej strony ulicy, na placu, ruch się niewiele zmniejsza. Tylko teraz wszelkie produkcje odbywają się przy migotliwym świetle małych lampek. Ale tłumy prawie takie same, jak za dnia. Gdzieś tam tylko ktoś bardziej zmęczony położy się poprostu na placu w tem miejscu, gdzie mniej będzie narażony na nadeptanie i zwinie w kłębek, płaszczem nakryty, smakowicie śpi. Dopiero, gdy kilkunastu dostojnych mężów wylazłszy na niewysoki murek wypali na komendę z długich arabskich strzelb na znak, że to północ, puścić się robi na ulicach. Przez całą noc jednak dociera poprzez otwarto i zapuszczoną nad łóżkiem muskitiere (długie rozmowy i spacerów.

Kraj, w którym nikt nie reperuje domów

Dnia 16 czerwca wyruszamy nareszcie w góry. Rano, gdy wyskakuję z łóżka, przenika mnie chłód. Prędko naciągam piżamę i biegnę do okna. Słońca nie widać. Termometr wskazuje zaledwie 22 stopnie ciepła. Nic dziwnego, że czuję zimno.

Prędkie pakowanie się, spieszenie przełknięte śniadanie i sadowiny się w autobusie, wypełnionym plecakami i skrzyniami z żywnością. Wreszcie wyruszamy z Marrakech'u, przejeżdżając okolicą podmiejskich plantacji, pracownicy nawadnianych przez człowieka, chłopców jak najwięcej wydrzeć ziemi z pod zasięgu pustynnego piasku.

Nie dziwią mnie już tak często widziane po drodze ruiny. Opowiadano, mi, że krajowiec z reguły nie reperuje walącego się domu. Woli wybudować nowy. Gdy pytano sułtana marokańskiego po jego powrocie z Paryża, co go najbardziej zdziwiło w Europie, odparł, że pałac wersalski. Nie rozumie zupełnie, po co konserwuje się olbrzymi gmach, w którym nikt już nie mieszka.

— Droga jest niezwykle malownicza. Bystrymi serpentynami wspina się po stromym zboczach górskim. Wysoka, nie obramowana żadnymi barierami, może dostarczyć wielu emocji, gdy kierowca wozu jest Arab. Mijamy Arni, do któ-

rego istnieje komunikacja autobusowa i dalej jedziemy coraz gorszą już drogą, byle bliżej ku górom.

O kilka kilometrów przed Tagadirem zatrzymuje się autobus. Zrujnowana droga nie pozwala jechać dalej. Czeka tu już na nas muły. Następne przeładowanie i nasza karawana rusza zwoła. Wygląda to niezwykle malowniczo. Małutkie muły, obciążone wielkim ładunkiem, lub niosące na grzbiecie nas, strojnych w hełmy tropikalne, otoczonych całą falangą wydalaców gardłowe okrzyki mulników. Góry o odcieniach czerwonym w miarę jak wznosimy się wyżej coraz mniej urozmaicone zielonymi plamami roślinności. — Po drodze, strojny w fioletowy płaszcz i biały turban na kształt obręczy obejmujący nagą czaszkę, dołącza się do naszej karawany uprzednio zamówiony kucharz, Si Oamar. Towarzyszył on już poprzednio wyprawom włoskiej i szwajcarskiej. Okazuje się jednak, że zupełnie nie rozumie po francusku. A kunszt gotowania na modłę europejską jest mu prawie zupełnie nie znany. Jest więc raczej pomocnikiem niż kucharzem. Zresztą bardzo sympatyczny, z przyjemnym uśmiechem na brązowej twarzy. Sposób porozumiewania się na migi ma też swój urok.

Polskie proporczyki w pustynnych górach

Zatrzymujemy się na obiad w schronisku, będącym własnością sekcji marokańskiej francuskiego klubu alpejskiego, w miejscowości Arround na wysokości 1860 metrów. Tu odprawiamy część mułów i dalej coraz straszniejszą ścieżką docieramy do arib'u na wysokości 2340 m., gdzie zakładamy obóz. Arib, to koliba z małym placikiem, otoczonym wzniesionym z kamieni murkiem, służącym za schronienie pasterzom owiec. Nasz arib jest opuszczony. W kolibie rozkładamy naszą kuchnię, a na placyku przed nią rozbijamy trzy namioty z proporczykami o barwach narodowych. O godzinie 8 już leżymy w śpiworach.

W nocy budzi mnie gwałtowna uława. Nagle rozświetla namiot błyskawica. Po chwili druga i trzecia. Zасыpiam niespokojny o jutrzejszy dzień.

Od samego rana grad i deszcz naprzemian,

a na dodatek kilka burz. Termometr wskazuje tylko trzy stopnie ciepła. Dach namiotu ugina się pod grubą warstwą śniegu. Siedzę w namiocie, przerysowując francuskie mapy i szkice robione przez poprzednie wyprawy. Różnice dosyć znaczne. Wypadałoby przedewszystkiem dla orientacji zrobić jakiś rekonesans.

Jest godzina pięć minut po czwartej, gdy, mając dosyć siedzenia w namiocie, mimo wciąż jeszcze padającego deszczu, wyruszam. Z aribu chciałbym się wydostać na spiętrzącą się nad nami grań. Gdy spychają mnie ściany, trawersuję długo skośnie w lewo, wchodząc coraz dalej w głąb doliny. Chwilami deszcz przestaje padać i wiatr rozwiewa mgły. Ukazują się wtedy jeszcze dalekie potężne ściany i granie. Długim, wygodnym żłobem wydostaje się na grań. Należałoby teraz bystro opadającym leżącym jej ostrzem zejść na sam dół i stamtąd już praw-

dopodobnie ścieżką wrócić się kawalek do obozu. Cóż, kiedy nęci mnie właśnie ta druga część grani, kulminująca w turni, z której opada jeszcze inna grań, tworząca z moją obramowanie doliny sąsiedniej z naszą. Czasu mam mało, więc ruszam z kopyta w kierunku upragnionej turni. Niedaleko od szczytu grań spiętrza się pionowym uskokiem. Narazie mi idzie dobrze, lecz powoli na mokrej i zimnej skale ręce coraz bardziej grabieją. Jeszcze najwyżej 30 metrów do szczytu stromą i dość trudną rynną.

Na zdobycie szczytu Toubkal

Następnego dnia zrywamy się o świcie. Nasza czwórka, to znaczy Chwaściński, Górski, Korosadowicz i ja idziemy najłatwiejszą drogą na Toubkal. Z naszego obozu dnem doliny posuwamy się w górę. Po drodze mijamy położony na wysokości 3100 m. arib Onanouns. Niesamowicie wygląda na tle nagich skał skulona postać tego mieszkańca. Coś jakby epoka kamienna. — Posuwamy się dalej w kierunku przełęczy Tizi n'Onanouns. Tuż pod przełęczą spostrzegam nagle brak aparatu fotograficznego. Pamiętam, gdzieś go zostawiłem, więc, jeśli go chcę odzyskać, muszę się od razu wrócić. Więc wałę prawie trzysta metrów w dół i potem znowu z pospiechem na przełęcz gdzie czekają na mnie towarzysze. Na przełęczy (3650 m.) wita mnie mroźny wiatr. Teraz czeka nas długi przeszedł dwukilometrowy w linii powietrznej tawers zbroczami Toubkal'a Zachodniego. Wciąż wchodząc

Palce zupełnie skostniałe, godzina coraz później, powrót, jeśli bym wyszedł na górę, nadzwyczaj ryzykowny, a niewiadomo, czy inną drogą dałoby się zejść, więc w końcu wściekły o godzinie 6.15 postanawiam odwrót. Kawalek wracam się granią, a potem pianzystym zboczem wprost w dół. O zmroku jestem w obozie. Nie wyszedłem na wierzchołek turni, pobiłem jednak swój rekord życiowy wyniesiony z Tatr, gdyż turnia miała jednak prawdopodobnie przeszło 3300 metrów.

I schodząc, poprzez galimatjas żeber i grani posuwamy się mozolnie naprzód. Mamy dojść do żlebu, wyprowadzającego na Tizi n'Toubkal i nim wyjść na przełęcz, a stamtąd łatwą zupełnie lecz długą granią na szczyt Toubkal'u. Wciąż trawersując coraz to nowe żebra szukamy naszego żlebu i jakoś go znaleźć nie możemy. Zresztą nie znamy opisu drogi a tylko zgrubsza jej zarzys. Upatrzawszy sobie w końcu jakąś zaśnieżoną czeluść postanawiamy się pchnąć nią do góry. Świeży, zaróżowiony pyłem przyniesionym z niedalekiej Sahary, kopny śnieg, utrudnia posuwanie się. Godzina mija za godziną, a my wciąż mozolnie się pniemy w górę. Wysokość coraz większa też robi swoje, tak, że coraz częściej muszę się zatrzymywać dla odpoczynku. W pewnym momencie, gdy żleb rozdziela się na kilka ramion wchodzimy na skały. Po pewnym jednak czasie spychają nas znowu skały w kierunku

ku żlebu. Schodzimy doń stromą rynną. Pionowy jej, kilkumetrowy próg zatrzymuje nas na chwilę. Rozwijam linę i kolejno przy jej pomocy schodzą towarzysze. Niestety nie będąc przygotowanymi na jakiegokolwiek trudności, nie mały przy sobie ani jednego haka. Wobec tego moje zejście jako ostatniego następuje ze względu na brak jakiegokolwiek bloku, przez który dałoby się przełożyć linę, pewne trudności. W rezultacie Górski asekuruje nas na czekanie, wbitym w śniegu. Chwaściński, stojąc częściowo na Korosadowiczu a częściowo na jakichś stopieńkach, robi żywą drabinę. Ja, powolnie zapierając się rękoma o ściany, plecami szorując po dnie ryny, którą spływa potoczek, powoli opuszczam się coraz niżej, by wreszcie osiągnąć upragniony moment — oprzeć podkute buty na wyciągniętych w górę dłoniach Chwaścińskiego. Chwiejna drabina obniża się powolutku — potoczek, przeniknawszy poprzez ubranie, cieknie sobie swawolnie po moich nagich plecach a ja całym ciałem jaknajbardziej odchylam się w tył i przytulam do skały. Wreszcie koniec. Stoję na dnie żlebu.

— Zwijamy linę i znów stopień za stopniem pniemy się w górę, przy metalicznych dźwiękach sopli lodowych, spływających wazutkiem strumyczkiem w dół. Coraz częstsze przystanki i coraz dłuższe odpocynki. — Po 600 metrach wreszcie upragniona grań. I o dziwo w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków widnieje szczyt. Stanęliśmy więc na najwyższym szczycie Atlasu — Toubkalu (4165 m.) dokonawszy pierwszego wyjścia od południa.

Nieznany wywiad nieznanego dziennikarza z Wilhelmem II-gim w czasie wojny światowej

W ciągu lata 1908 roku pewien dziennikarz amerykański, William Bayard Hale, przyjęty został przez ekskajzera Wilhelma II, który udzielił mu dłuższego wywiadu. Wywiad ten miał być opublikowany w amerykańskim magazynie „Century Magazine”.

Przed oddaniem do druku dziennikarz ów przedstawił swój rękopis na Wilhelmstrasse, gdzie zredagowanie wywiadu poddano licznym przeróbkom, skreślając niektóre ustępy, uważane za niedyplomatyczne, lub nawet niebezpieczne. Tak poprawiony tekst zwrócono dziennikarzowi, który oddał go do druku. Wszystko to zabrało sporo czasu. Po kilku miesiącach wreszcie wywiad został wydrukowany i już miał dostać się do rąk czytelników, gdy nagle Wilhelmstrasse depeszuje, by za wszelką cenę oświadczeń Wilhelma II nie ogłaszać, czemu po wielu perypetyjach stało się zadość.

Obecnie syn Hale'a, który rękopis tego wywiadu odnalazł w papierach swego ojca, ogłasza go na łamach przeglądu paryskiego „Revue de Paris”. Jest to dokument dziś już w znacznej mierze nieaktualny, ale bardzo ciekawy pod względem psychologicznym, malujący dobrze charakter i poglądy niefortunnego cesarza Niemiec, a to tembardziej, że jest to tekst oryginalny, to znaczy, zawiera te ustępy, które niegdyś skreślone zostały przez cenzurę niemiecką.

NIEZWYKŁE OŚWIADCZENIA.

Swym zwyczajem Wilhelm II nie liczy się ze słowami w rozmowie z Hale'm, posuwając się przytem do niewiarygodnych niedyskrecyj, odsłaniając najintymniejszą swoje myśli. Odrazu też, od pierwszych słów, przebija jego pycha, uważa się za największego człowieka ówczesnego świata, a drugiego takiego mocarza widzi w ówczesnym prezydencie Stanów Zjednoczonych, Teodorze Rooseveltcie, chwalać niezmiernie jego politykę i jego wybitną indywidualność. Tym pochwalam nie były obce rachuby polityczne, gdy Wilhelm II myślał wówczas dużo o sojuszu amerykańsko-niemieckim.

Opowiada więc, że słynny przemysławiec amerykański Carnegie zwierzył mu się niedawno, iż dwaj są ludzie, których chciałby widzieć w swoich pociągach. Miał na myśli prezydenta Stanów i cesarza Niemiec, dodając że gdyby mógł tych dwóch ludzi zetknąć choć na jeden dzień, świat widziałby wielkie rzeczy. Na to Wilhelm II odrzekł, że niczego barziejby sobie nie życzył, jak zaprzęć się do jednego dyszla z prez. Rooseveltem, ale pod warunkiem, że Roosevelt będzie na przedzie, ponieważ „podziwia głęboko jego niezwykłą odwagę, jego wzniosłe idee i sukces, jaki osiąga przy ich realizowaniu”.

Następnie cesarz przesiada się na swego ulubionego konika i rozwodzi się o „żółtem niebezpieczeństwie”... „Piętnaście lat temu — mówi — zapowiedziałem „żółte niebezpieczeństwo”. Wówczas świat uśmiechał się, ale dziś godzina śmiechu już przeszła. Nikomu nie jest tajne, że Azja i Zachód, rasa żółta i rasa biała, zetną się któregoś dnia. Pierwsza walka na nieszczęście nie była zwycięska. Rosjanie bili się w imieniu rasy białej, z czego nie zdawano sobie sprawy. Co za nieszczęście, że to Rosji właśnie przypadła ta walka w udziale. Gdyby

to moje bataljony mogły być wziąć się do Japończyków”...

Anglii nie szczędzi Wilhelm II uszczypliwych słówek. Rozwodziąc się nad problemami Dalekiego Wschodu, oświadcza bez obłonek, że „jeżeli Anglija, a raczej niedołęgi, które nią rządzą, nadal będą trzymały się swego aljansu z Japonją, to nie widzę, w jaki sposób Imperjum Brytyjskie będzie mogło uniknąć rozbioru”.

OBEŁGI POD ADRESEM LEONA XIII.

Wilhelm II wyraża również swoją opinię o religii protestanckiej i katolickiej, dając upust swojej awersji do tej ostatniej. „Katolicy — mówi — rezerwują tylko małe miejsce dla Jezusa Chrystusa. Zepchnęli go na dalszy plan w stosunku do Matki Boskiej i świętych. mego Zbawiciela”.

Nie cofa się nawet Wilhelm II przed atakiem na ówczesnego papieża Leona XIII, mówiąc: „Co zaś do obecnego papieża, to uważa się go za człowieka pobożnego, ale w rzeczywistości jest to fanatyk, któremu brakuje wiedzy teologicznej i naukowej i który pozwala się prowadzić przez reakcyjnych ekstremistów”. Całe to zdanie zostało przez cenzurę niemiecką skreślone. My zaś, protestanci, czerpiemy swoją siłę z siły są-

Kończy się ten szczególny wywiad wyznaniem wiary Wilhelma II. „Przyszłość — oświadcza — przyszłość należy do rasy białej. Co do tego niema żadnych obaw”. Gdy to mówił — notuje dziennikarz amerykański — barki jego prężyły się, oczy błyszczały, zdawało mi się, że widzę orła unoszącego się nad jego głową. „Przyszłość należy do Anglo-Teutona, do człowieka, który wyszedł z Europy północnej, skąd i Amerykanie pochodzą i gdzie jest ziemia rodzinna Niemców. Ta przyszłość nie należy do żółtych, do czarnych ani do kolorów oliwkowych. Jest zarezerwowana dla ludzi o białej cerze, dla chrześcijan i protestantów. My jesteśmy jedynym narodem, który może ją uchronić. Żadna potęga na świecie, czyto należąca do innej cywilizacji czy do innej religii, nie jest zdolna uratować ludzkości. Przyszłość należy do nas”.

wywołać mógł burzę w świecie, zarówno jak i w samych Niemczech, miał być ogłoszony w listopadowym numerze „Century Magazine”. W międzyczasie zaszły jednak pewne wypadki, które jego opublikowaniu przeszkodziły.

Drugi wywiad z Wilhelmem II wszedł tutaj w grę. W czasie swojej wizyty u króla Edwarda VII, która spowodowała pewne odprężenie w stosunkach angielsko-niemieckich, Wilhelm II poczynił szereg oświadczeń natury prywatnej w gronie kilku wybitnych Anglików. Jeden z nich, major Wortley, zwrócił się do cesarza z prośbą o pozwolenie opublikowania tych jego enuncjacji jako świadczących o przyjaznych uczuciach względem Anglii. Wilhelm II zgodził się na to.

W kilka miesięcy później major Wortley przestał do Berlina swój rękopis z prośbą o przeglądnięcie go i wyrażenie pozwolenia na druk. Wilhelm II dał go do oceniania kanclerzowi Buelowi. Co wówczas zaszło, do dziś dnia dokładnie niewiadomo. Ks. Buelow mówi w swoich pamiętnikach, że zbyt zajęty różnemi

sprawami nie przejrzał rękopisu i dał go do sprawdzenia swoim urzędnikom, którzy również go nie tknęli. W końcu, gdy Berlin nie podnosił żadnych zastrzeżeń, wywiad Wortleya został ogłoszony w londyńskim „Daily Telegraph” w numerze z 28 października 1908.

Historja ta jest znana. Wywiad wywołał olbrzymi skandal. Miał być niby „przyjazny” dla Anglii, ale zaczynał się od słów: „Wy, Anglicy, wy jesteście szaleńcami i tak pomyleni, jak zające. Co się wam stało, że żywiście w stosunku do nas podejrzenia niegodne wielkiego narodu”?

Następowała długa tyrada, w której Wilhelm II starał się wykazać, że zawsze dla Anglii odczuwał sympatię, ale tej sympatii nie podziela jego naród. Uczynił aluzję do tajnych pertraktacji dyplomatycznych między Francją i Rosją, które miały być nieprzyjazne dla Anglii. Wspominał również, że podczas wojny Anglii z Boerami opracował ze swoim sztabem wojskowym plan kampanji dla armii angielskiej, że ten plan przedstawił potem królowej Wiktorji i stwierdza raziące podobieństwo między swoim planem a planem przyjętym przez lorda Roberta, który pozwolił zwycięsko zakończyć dla Anglików wojnę w poł. Afryce. Nakoniec rozwodził się o możliwej kooperacji floty angielskiej i niemieckiej na wodach chińskich, dając do zrozumienia, że miałoby to być skierowane przeciwko Japonji.

Tego rodzaju oświadczenia nie mogły nie wzbudzić powszechnej reakcji. Wilhelm II dokazał tego, że zraził sobie wszystkie wielkie państwa, miesząc się do ich spraw wewnętrznych, atakując ich dyplomację lub ucząc ich dowodzenia wojskiem. Prasa angielska, francuska, rosyjska i japońska rozpetęły burzę protestów. Niemniej potężna reakcja była w Niemczech. Naród rozumiał, że przez swoje niedyskrecje cesarz zburzył może w kilku słowach to, co dyplomacja zbudowała z trudem w ciągu długich lat. Ze wszystkich stron podniosły się głosy, by Wilhelm II zaprzestał swoich niefortunnych enuncjacji, gotowych cały świat skoalizować przeciw Niemcom. Żądano nawet jego abdykacji. Przez pewien czas tron ekskajzera wydawał się zachwiany.

W takich to warunkach Wilhelmstrasse przypomniała sobie z przerażeniem, że jest drugi niefortunny wywiad z cesarzem w obiegu i ma być opublikowany w prasie amerykańskiej. I w cztery dni po ukazaniu się wywiadu w „Daily Telegraph” szef wydziału anglo-amerykańskiego na Wilhelmstrasse baron von Bussche depeszuje do Hale'a, by za wszelką cenę nie ogłaszał swego artykułu. Hale odpowiedział, że to niemożliwe, bo wywiad już jest wydrukowany i egzemplarze miesięcznika sortuje się do wysyłki. Na to przysłała z Berlina druga depesza, poparta przez ambasadora Stanów Zjednoczonych w Berlinie i obiecująca pokryć wszystkie koszty za zniszczenie nakładu, byle tylko niebezpieczny artykuł nie ujrzał światła dziennego.

Wydawcy „Century Magazine” nie mogli się już temu opierać. Cały nakład kazali ukryć, a klisze i matryce drukarskie zamknęli w swoich kufrach pancernych. Chodziło jeszcze o wytłumaczenie czytelnikom i opinii publicznej, dlaczego ów wywiad, szumnie rozreklamowany

Jak dawniej kadano przestępców

Ponure karty z dziejów ludzkości

wany na kilka tygodni przedtem, nie ukazał się w rezultacie. Nie można było powoływać się na veto sądu niemieckiego. W końcu zadanie to wzięli na siebie sam Hale, który stał się kozłem ofiarnym tej całej historii. Zamiast wywiadu ukazała się w miesięczniku *notatka* podpisana przez Hale'a i zaadresowana do wydawcy tej treści: „Pewne okoliczności, które zaszły od czasu, gdy napisałem artykuł „Wieczór z cesarzem Niemiec”, zmuszają mnie zwrócić się do pana z żądaniem, by go wycofać przed jego ogłoszeniem”. Nie była to wzmianka bardzo przyjemna dla Hale'a, gdyż mogła dawać do zrozumienia, że nadużył zaufania swoich wydawców i wzięł on na siebie. Zwrócił nawet honorarium tysiąca dolarów, które otrzymał za ten artykuł.

DALSZE PERYPETJE.

Na tem jednak nie kończą się dziwne perypetie tego fatalnego wywiadu. Wieść o jego egzystencji i wycofaniu rozeszła się mimo wszystko, powodując szereg tragicomicznych incydentów. W Niemczech samych ta historia posłużyła do zaostreżenia kampanii przeciwko Wilhelmowi II. Jeden z tygodników socjalistycznych rozpuścił wieść, że rząd niemiecki zapłacił wydawcom „Century Magazine” i Hale'owi 50.000 dolarów za wycofanie wywiadu. Była to przesada. W rzeczywistości Berlin zapłacił 2.000 dolarów odszkodowania, co zaledwie pokrywało kosztą druku i reklamy.

W Ameryce natomiast ten nieopublikowany wywiad wywołał prawdziwe roznamietnienie w świecie dziennikarskim. Starano się go odkryć, publikowano zmyślane jego wersje.

Tak więc czytelnicy nowojorscy ze zdumieniem znaleźli w kilka dni później na pierwszej stronie dziennika „New York American” artykuł, zatytułowany „Nieopublikowany wywiad z Kaiserem”. Ku swemu niemniej-ozemu zdumieniu Hale stwierdził, że jest to wprawdzie dość dowolna i skrócona, ale niemniej w niektórych punktach dość wierna transkrypcja jego własnego wywiadu. Zastanawiając się nad tem, w jaki sposób to się stać mogło, doszedł do przekonania, że widocznie w ręce tego dziennika dostał się jego list, który wysłał do dyrektora „New York Times'a” i w którym pisał o niektórych szczegółach swojej rozmowy z kaiserem. Należało przypuszczać, że ktoś włamał się do biurka dyrektora, skopjował list, poczem włożył go z powrotem na miejsce.

Jednakże zaraz na drugi dzień inny dziennik nowojorski „New York World” ogłosił sklei swój „Wywiad z Kaiserem”. Wersja ta była zupełnie inna od wersji „Americana”. Tłumaczono najpierw czytelnikowi, że cesarz przy wypowiedzianiu swoich enuncjacji był nieco podchmielony. Miał się wyrazić ze złością o królu Edwardzie, o Francji mówił, że jest bezbronna „w dołku jego ręki”, a dalej, że wojna wybuchnie niedługo i że Niemcy przygotowują do walki swoje zeppelin.

Tym razem Hale ogłosił dementi, oświadczając, że artykuł jest „absolutnie fałszywy od początku do końca”. Tu jednak wychodził na jaw niektóre dość specyficzne metody pewnej części prasy amerykańskiej. Jeden z reporterów pokazał Hale'owi odbitek tekstu przed jego ogłoszeniem i Hale zaznaczył na marginesie: „To jest całkowicie fałszywe”. Tymczasem „World” sfotografowawszy jego słowa, zmienił ich porządek i ogłosił następnego dnia fac-simile dementi w tej formie, że mogło się wydawać, że zaprzeczenie odnos: się tylko do jednego ustępu, natomiast oryginalny podpis Hale'a umieszczony został w takim miejscu, że wyglądało to w następujący sposób: „Wywiad z Kaiserem przez W. B. Hale'a”. Hale nie mógł nie zaprotestować z tego powodu i incydent ten wywołał jeszcze długie polemiki w różnych piśmiech amerykańskich, zanim w końcu „New York World” nie przyznał się, że opublikował tekst zmyślony od początku do końca.

Nareszcie z początkiem 1909 roku przestano mówić i interesować się tym wywiadem i jednego dnia krążownik niemiecki „Bremen” przybił do brzegów amerykańskich, by załadować na swój pokład paki ze wszystkimi egzemplarzami fatalnego numeru „Century Magazine”. Krążownik skierował się następnie do zatoki Meksykańskiej, gdzie paki wrzucono do morza. Kiedy jednak nie tonęły, kapitan krążownika kazał je wyciągnąć z powrotem, poczem poszczególne egzemplarze spalono wrzucając je do ognia kotłowni. Taki był koniec tego niefortunnego wywiadu z ekskajzerem.

Z początkiem wojny ówczesny ambasador niemiecki w Waszyngtonie postarał się jeszcze o odebranie klisz i matryc drukarskich od wydawców „Century Magazine”, by je również zniszczyć. W ten sposób wszelki ślad został zatarty. Przypuszczano wszakże, iż ocalał jeden jedyny egzemplarz i że znajduje się w posiadaniu Teodora Roosevelta. Jednakże w roku 1917, gdy Stany Zjednoczone wkroczyły w wojnę przeciwko Niemcom Roosevelt ofiarowywał nagrodę 15.000 dolarów dla tego kto mu taki egzemplarz dostarczy, bo chciał go użyć do propagandy wojennej.

Nie znaleziono jednak oryginalnego tekstu. W rzeczywistości jeden egzemplarz „Century Magazine” znajdował się w posiadaniu Hale'a, ale ten w międzyczasie umarł i dopiero niedawno jego syn przy przeglądaniu i porządkowaniu papierów, pozostałych po ojcu znalazł nie tylko numer tego miesięcznika, ale również oryginalny rękopis wywiadu, na którym skreślenia cenzury niemieckiej zaznaczone są czerwonym atramentem, tak że słowa skreślone łatwo można odczytać. K.

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że jeszcze w końcu 18-go wieku stosowane były w Polsce przy badaniu podejrzanych o jakieś przestępstwo tortury. Niedoskonałe instytucje sądów nie wyobrażały sobie prawidłowego funkcjonowania bez pomocy kata. Zasadą bowiem, od której bardzo rzadko odstępowano, było ferowanie wyroków na zasadzie przyznania się oskarżonego do winy. Uzyskanie przyznania się nie było rzeczą trudną, zważywszy, że w stosunku do opornych stosowano aż 5 stopni tortur.

Badanie oskarżonych odbywało się w t. zw. „kuźniach”, mieszczących się w ratuszach obok sal sądowych. Już sama nazwa tych gabinetów badań wskazuje na to, że wyglądem przypominały one kuźnie. Rozpalone piece, wielka ilość rozpalonych do białości obcęgów i sztab do przypalania, żelazne dźwigiary do wyciągania kości, koła do łamania, żelazne buty i „warsztaty”, przypominające wyglądem łoża, dopełniały urządzenia „kuźni”. Przy badaniu oskarżonego obecny był zawsze członek sądu, który zadawał torturowanemu pytania, podczas, gdy kat dokładał wszelkich starań, by rozwiązać delikwentowi język.

W starych archiwach zachowały się akta w których znajdujemy dokładnie opisy „badania”.

Pierwszy stopień tortur stanowiły śruby do ściskania kciuków. (Daumenschrauben) które trzykrotnie mogły być dokręcane bez istotniejszej szkody dla inkwizyta, przy czwa-

rtem jednak przyśrubowaniu musiały pęknąć kości.

Drugi stopień stanowiły trzewiki hiszpańskie. Były to olbrzymie buty żelazne na śrubach, do których wstawiano nogi inkwizyta, ściskając je następnie śrubami. I tu również, według „biegłych” można było „bez szwanku na zdrowiu i całości” zaciskać śruby trzykrotnie przy czwartym zaciśnięciu pękały golenie.

Trzeci stopień zwany naciąganiem, lub popularnie „szpikowanym zajacem”, polegał na naciąganiu inkwizyta na specjalnym łożu. — Sprawiało to straszliwy ból. Po trzykrotnym naciąganiu wyskakiwały kości barkowe, a kręgosłup ulegał zmiażdżeniu.

Czwartym stopniem tortur stosowanych w Polsce były t. zw. „hiszpańskie skrzypce” (Spalnsche Fidel). Skrzypce owijano dookoła ramienia i skręcano. Ostre krawędzie przy obrotach wpijały się w ciało badanego wyrwijając całe kawały mięsa.

Piątym i ostatnim stopniem badania było siarkowanie, składające się z trzech podstopni. A więc spryskiwanie piersi rozpaloną siarką, następnie zalewanie nią pachwin i miejsc specjalnie czułych, wreszcie zalewanie siarki za skórę, uprzednio naciętą.

Zaznaczyć trzeba, że wymienione przez nas sposoby tortur były najłagodniejsze i zwano je w odróżnieniu od tortur stosowanych przedtem przez inkwizycję „humanitar-nemi”.

—oOo—

Królowa poślubiona żandarmowi

Oryg'na'na para małżeńska we Francji

W Burgundji francuskiej leży mała wioska Clery, która poszczycić się może niebylejaką parą małżeńską. Zamieszkuje tam wraz ze swoim mężem egzotyczna królowa, co prawda od 35 lat zdetronizowana której włości rozciągały się kiedyś na całą jedną wyspę oceanu Indyjskiego. Po różnych tarapatach wylądowała w końcu we Francji, poślubiwszy w międzyczasie żandarma francuskiego, i dziś oboje żyją w tej małej wiosce, liczącej wszystkiego 118 dusz, uprawiając kawałek ziemi.

Dzieje tej egzotycznej królowej są zaiste niezwykle. Jej matka, która nazywała się Tiube Fatima, rządziła wyspą Moheli, położoną w odległości około 700 km od Madagaskaru. Miała 15.000 poddanych i w czasach swojej największej świetności przyjmowała z wielką pompą nadzwyczajnego wysłannika cesarza Napoleona III.

Ta „poteźna” władczyni miała córkę, która nazywała się Salinda Machimba i której przeznaczeniem było osiąść jednego dnia najniespodziewaniej w świecie w małej wiosce francuskiej Burgundji. Wcześniej zostawszy sierotą, miała Salinda Machimba dostała się pod protektorat dzikiego sultana Saida Ali i gdy ten wdał się w niefortunną walkę z Francją, została wraz z nim pozbawiona swego dziedzictwa. Wyspę Moheli zaatakowała Francja w r. 1908 młoda królowa straciła tron i tytułem częściowej kompensaty otrzymała od władz francuskich rentę 4.000 franków rocznie.

W międzyczasie na drodze życiowej Salindy Machimby stanęła miłość. Podczas pobytu na wyspie Reunion gdzie ją kształcono w jedne z misyj francuskich, poznała żandarma francuskiego Kamila Paule'a, który podbił jej serce swoim dwurożnym kapeluszem i imponującymi wasami. Dla niego przye'a obywatelstwo francuskie i po ślubie wraz z nim podążyła do Francji. Była królowa zabrała się do hodowli kur i kaczek przy boku swego męża, który od szeregu lat przeszedł na emeryturę.

O egzystencji tej oryginalnej pary małżeń-

skiej dowiedziała się teraz opinia francuska, ponieważ deputowany Valensi, w którego okręgu wyborczym egzotyczna królowa zamieszkuje, postanowił wziąć jej prawa w obronę. Zdetronizowana władczyni skarży się, że jej wyznaczono rentę zbyt małą zwłaszcza że powojenna dewaluacja franka jeszcze jej wartość zredukowała. Nie ma zresztą wygórowanych żądań, upomina się tylko o niedużą podwyżkę aby mogła sobie dokupić kawałek ziemi i „dwie mleczne krowy”.

Dep. Valensi ma zamiar na jednym z najbliższych posiedzeń izby postawić ministrowi kolonii „zapytanie ustne” w tej sprawie. Przytoczyć pragnie dowody że zdetronizowani władcy afrykańscy otrzymywali znacznie wyższe odszkodowania, by wykazać że w zestawieniu z temi wypadkami była królowa Moheli niesprawiedliwie została potraktowana.



NAJMLODSZY ARCIBISKUP — SYN EM CHLOPA. Dr. Alojzy Stepien syn „ugosłowiańskiego chłopca”, został w ostatnich dniach mianowany arcybiskupem-koadiutorem „cum iure sucesionis” w Zagrzebiu. Jest on najmłodszym arcybiskupem świata.

Pan Hipolit - sekwestrator

„W Kurjerze Warszawskim” znajdujemy doskonały obrazek z dzisiejszych czasów, który poniżej przytaczamy w całości:

Sekwestrator, pan Hipolit, powracał po pracowni spędzonym ranku bez humoru. Plon był lichy. Chłopi, jakby się namówili przednowek — mówią wszyscy. A tu jakieś nowe prądy, w urzędzie papier z Warszawy dostali, żeby „zobowiązanych” nie zanadto naciskać. Owszem, energicznie, stanowczo i bez słabości, ale w miarę.

Niewiele więc zebrał pan Hipolit, sekwestrator. Tyle, że zajął kilku gospodarzom, co się dało. Nie to go jednak gnębiło. Bywał tak w życiu, że drobne przykrości bardzo by wajał dokuczliwe.

Właśnie. Pan Hipolit namiennie palił papierosy. Była to jedyna jego namiennosc — poza umiłowaniem zawodu. Wyrobił się już w Polsce przez tych lat 15 piękny, wyraźny typ sekwestratora.

Otóż panu Hipolitowi wyszły zapalki. Zdawało mu się, że ma w płaszczu, a nie miał. Chciał kupić, ale w wsi sklepu nie było. Dwaj gospodarze uśmiechnęli się tylko. „Nie stać w Polsce — powiedzieli — gospodarza chłopa na zapalki”. Łuczywo mu podali z pieca. Narazie dobrze, ale do miasta było opełnionych 15 kilometrów ciężka droga. Sklepów na tej przestrzeni nie było. Jechać zaś, rozmyślać o wszystkim, plany misterne o pracy sekwestratorskiej układać i nie palić?...

To właśnie w zły humor wprowadziło sekwestratora, pana Hipolita. Dwa gniade konie czlapały powoli po nierównej drodze bryczka trzęsła, słońce południowe silnie prażyło, od łąk i lasów dochodziły ożywcze zapachy... gdyby tak jeszcze papierosa zapalić... żeby to wszyscy djabli!

Z pola o liljowej barwie łubinów zrywały się kuropatwy i zapadały opodal. Sporo tego było. Należałoby i kuropatwy zajmować i zające — myślał Hipolit, bo często nie ma już co zajmować, a pocić wygodę ma mieć z kuropatw taki, co podatki nie płaci! Płacisz podatki — jedź kuropatwy, nie płacisz — niech inni jedzą ze słoninką. Musi być sprawiedliwość. A tu i dzików sporo w tej okolicy. Nocami na kartofliska wychodzą i szkodę robią.

Machinalnie co chwilę sięgał pan Hipolit po papierosnicę i przypominał sobie, że bez zapalek papieros nic nie wart...

W oddali dojrzał pan Hipolit jakiś pojazd — nie chłopski.

— Dziedzic Pikuskowski amerykańcem jedzie — objaśniał woźnica.

W pana Hipolita wstąpiła nadzieja. Dziedzica znał dobrze. Ho, ho! Sprzedało mu się karety dwie, wolanty, cuganty... Był tam z 15 pojazdów. Ostał mu się ten jeden amerykańcem — bardzo już wytrzeszony. Narazie nie miał pan sekwestrator interesów do dziedzica. Jakiś tam układ był, że dopiero po żniwach. Ano! Ale — zapalki!

Pojazdy zrównały się. Pan Hipolit zaczął zatrzymać bryczkę i ręką znaki dawał. Zatrzymał się i dziedzic. Przywitali się obaj panowie. Opowiedzieli sobie że ładny dzień bardzo ciepły, a po deszczach ostatnich poprawiło się wszystko. Susza już, już strachem przejmowała. Wyjął pan Hipolit papieros, dziedzica poczęstował. Ten podziękował.

— Nie palę — oświadczył — od roku prawie. Zawsze to oszczędność i zdrowiej. Palilem dużo i musiałem kupować tytoń coraz gorszy, bo za co? A lekarz powiedział, że to przykre drapanie w gardle i kaszel — to z palenia lichego tytoniu. Rzuciłem palenie.

— Ale zapalki ma pan dziedzic?

— Nie mam. Pocić zapalki temu, co nie pali. W domu są.

Rozwiali się złudzenia pana Hipolita. Aż zdenerwowanie w nim wzrosło. Użalił się,

że aż mu niedobrze z braku papierosa.

— Jedź radca do mnie — zaproponował dziedzic. — Trzy wiorsty w bok. Będą zapalki. Przegryziemy coś przy okazji... pora już na obiad...

Pokusa była silna. Nie tyle, żeby coś przegryźć, choć i to można, ale że zapalki... Trzeba się jednak podrożyć...

— Śpieszę się do miasta — odparł. — Mam jeszcze różne obowiązki.

— Lepiej się zawsze śpieszyć powoli — rzekł dziedzic. — Ja szczerze proszę.

— Ba, gdyby nie te zapalki. Jadę. Pojęcia pan nie ma, panie dziedzicu, co to za przykrość dla palacza, mieć papierosy i nie mieć zapalek.

Uśmiechnął się dziedzic. Ale po chwili coś sobie przypomniał.

— Czekaj pan, panie radco. Od słońca zapalimy.

— Jakże to? Od słońca?

Wyjął dziedzic z obszernej kieszeni płaszcza płóciennego lupe. Wziął papierosa, szkło nastawił, i po chwili uniósł się lekki, błękitny dymek z papierosa.

— Zawsze mam lupę przy sobie — wyjaśniał dziedzic. Zboże sobie przez nią oglądam, pasożyty badam.

Sekwestrator palił chciwie. Rad był w tej chwili i wdzięczny. Nie wzdragał się z przyjęciem zaproszenia.

— Pieczeń mam z dzika — zachęcał dziedzic. — Skarżyli się chłopi, że dziki im silnie pola pustoszą. Kilka stad chodzi. Zaczaiłem się z gajowym i niedawno natknęło się na nas stado, 7 sztuk. Dwie sztuki bardzo ładne zostały na polu. Mam teraz comber i wędlin będzie sporo.

Zastrzegł się jeszcze pan Hipolit, że najwyższej na godzinę.

— Ano — zgodził się dziedzic. — Nie będę radcy niewolił. Zjemy, co Bóg dał i skoro się radcy śpieszy...

Gościnnie i uprzejmie. Był dziedzic. W mig na werandzie, jako że było gorąco, kazał postawić nalewkę, rzodkiewkę, mizerję ze śmietaną. Niebawem ten comber z dzika, dobrze szpikowany i apetycznie uduszony...

Rozmawiali trochę. O ciężkich czasach.

— Złe jest — skarżył się dziedzic. — A w tym nie rozumiecie. Do wszystkiego rolnik teraz dokłada. O, spojrzcie radca: ten gąsiorek ma dwa litry. Ani kieliszka więcej. A w tym przyjeżdżacie i żądacie, żeby wam na te podatki z dwulitrowej butelki dać trzy li-

try nalewki. Takie jest teraz całe gospodarstwo...

* * *

Nieźle nakarmiony, po kilku doskonałych nalewkach, zaopatrzony w zapalki, jechał sekwestrator do miasta. Myślał o dziecku i o wielu innych. Żał mu się zrobiło tych ziemian i chłopów-gospodarzy. Ale co robić? Nakaz to nakaz. Nie trzeba się roztkliwiać. I dobry gospodarz ten dziedzic, wyższe szkoły kończył i nic mu to nie pomaga.

Tak dumając, dojechał sekwestrator do miasta. Stopniowo jednak dobry humor zanikał. Coś pana Hipolita gnębiło. Ale co? Czynił rachunek sumienia. Nic nie zaniedbał. Zrobił wszystko, co miał polecane. Jednak coś go dręczy...

Załatwił się w urządzie. Do domu nie miał się pocić śpieszyć. Nie był głodny. Uczuł pragnienie. Chyba jedno zimne piwo?

Wstąpił do handelku. Wypił duszkiem kufel piwa i poprosił o drugi. Dobrze było, zimne. Dręczące myśli nadal go nie opuszczały. Jakby jakieś zaniedbanie, co u licha? Coraz wyraźniej z podświadomości wychodziło przekonanie, iż coś załatwione było nie w porządku. Przypominał sobie po kolei przebieg całego dnia... No — wszystko załatwił. Dziedzic?... Dziedzic miał zwłokę. Poczuł się człowiek. I przemysłny. Jak to on zapalił przez to szkło papierosa!

Tu myśli sekwestratora poczęły się rozjaśniać. Jest! Kazał podać trzecie piwo. Myślał dalej z napięciem. I nagle rozjaśniło mu się w głowie. Naturalnie! Tak się musiał czuć Kopernik, gdy stwierdził, iż jednak słońce stoi, a ziemia się obraca.

To jasne. Lupa, która zamienia zapalki... Ot, co jest. Wyraźne działanie na szkodę skarbu państwa. Gdyby tak w powiecie 10 tysięcy osób zużywało lupy, zamiast zapalek... A skarb nie może tracić! Przestępstwo jest przestępstwem.

Wrócił pan sekwestrator do urzędu, wziął arkusz papieru i poczęł pisać doniesienie karno-skarbowe, że dziedzic z Pikutkowa naraża skarb państwa na straty, zamiast bowiem zapalek, używa lupy, którą zapala od słońca papierosy. Tedy trzeba wszcząć dochodzenie karne i zalecić baczenie, czy inni przestępcy nie działają w podobny sposób na szkodę skarbu państwa...

Teraz miał w duszy spokój.

Genł.



PIERWSZY SNOPEK Z PÓL PONTYJSKICH.

Gdzie dawniej były bagna i spokojnie szumiały szuwały dziś są urodzajne pola pokryte złotymi łanami pszenicy. Dzięki nadzwyczajnej energii Mussoliniego, osuszono sławne bagna pontyjskie. Zdjęcie przedstawia Mussoliniego wkładającego do młockarni pierwszy snopek pszenicy, która wyrosła na wysuszonych bagnach pod Littorją.

Kącik dziatwy i młodzieży

Profesor Wilk

Uczniowie lubili profesora Wilka. Był sprawiedliwy, choć wymagający i surowy, to też na lekcjach jego było zawsze spokojnie i pracowano z korzyścią. Drobne nieporozumienia, „niesprawiedliwe“ czwóry kończyły się w najgorszym razie atakiem bezsilnego gniewu „porzuczonego“, — który na pauzie dawał upust żalom, powtarzając w różnych formach: Wilczysko, wstretny Wilczura itp. — Ale były to, jak się rzekło, zwykłe, szkolne nieporozumienia.

Złe się zaczęło dziać dopiero z chwilą przybycia Mietka Rembosza.

Mietek przyjechał z innego miasta w ciągu szkolnego roku. Był to chłopiec ładny, rosły i zdolny, ale samowolny i rozpieszczony, który odrazu zawojował klasę. Dlaczego? Może dlatego, że był nowy, inny nieco, niż pozostali, zżyci z sobą malcy, może poprostu umiał zawsze znaleźć odpowiedni argument, żeby postawić na swoim, nie wyłączając powalenia przeciwnika na ziemię. Był zdolny i na lekcji zachowywał się nieźle, aż do pewnej feralnej godziny przyrody, która rozpoczęła burzę.

Podczas wykładu nauczyciel zaznaczył, że wilk nie szczeka, lecz wyje. I w godzinę później, na lekcji polskiego, kiedy pan Wilk wykladał, z piątej ławki rozległo się stłumione: auuu... A potem cisza, jak makiem zasiał — chłopcy przypomnieli sobie poprzedni wykład: wilk wyje.

Profesor podniósł głowę i spojrzał na Mietka. Chłopiec miał minę doskonale obojętną, ale doświadczonemu pedagogowi wystarczyło jedno spojrzenie w oczy, żeby nabrać pewności, kto jest sprawcą. Pan Wilk nie przerywał wykładu. Po jakimś czasie znów ciche wyście rozległo się po sali.

— Rembosz, wyjdź z klasy.

Mietek podniósł brwi ze zdziwienia nieomal do kędzierzawej czupryny i z miną obrażonej ofiary wyszedł. Ale przedtem zdążył mrugnąć w stronę serdecznego przyjaciela Bronka. Porozumieli się. Oczywiście trzeba było dowiedzieć, że Mietek jest niewinien, że, choć go w klasie niema, ale „wycie“ zostało czuli, że to nie on był sprawcą. Bronk zawył głucho, ale, że był jasnym blondynem, zaczerwienił się, jak piwonja i... wyleciał jeszcze przedzi.

Od tego dnia już nie było ani jednej spokojnej lekcji. Nie pomagały perswazje spokojniejszych chłopców, nie pomagał gniew i kary pana Wilka. Mietek ni by wódz zorganizował wszystko po mistrzowsku i męczył profesora coraz bardziej.

Wreszcie pan Wilk miał tego dość. Postanowił wezwać „opiekę domową“. Niech natra uszu gagatkowi w domu i wytłumacza różnice między szkołą i menażerią.

Na drugi dzień Mietka nie było w klasie, ale na drugiej pauzie woźny zameldował, że pani Remboszowa jest w poczekalni. Profesor wyszedł na korytarz. Jak lawina zbiegała gromada uczniów z wyższych pieter, gdzie rozległo się: auu. Cała udręka dni ostatnich odżyła w panu Wilku, zacisnął zęby i z srogim marszem wszedł do poczekalni.

Wszedł i zdumiał się.

Bo oto na jego widok z krzesła podniosła się kobiecinka, cała w czarne i repy zatulona drobna, blada, zmieszana czy chora. Tak to była matka Mietka.

Zaraz na wstępie głosem drżącym i cichym zaczęła tłumaczyć dzisiejszą nieobecność chłopca.

— Boli go gardło... biedaczek... jestem bardzo niespokojna, ale doktor mówił, że to nic... płókanie... jutro już przyjdzie...

Profesor patrzył i słuchał, a jednocześnie wzdychał do dawnych dobrych czasów, kiedy to zamiast męczyć chore matki w poczekalni, pedel wbił w głowę urwisom na kobiercu, drogą nieco okrężną, szacunek dla szkoły. Patrzył w załamane oczy, słuchał drżącego głosu, widział chude palce, zacisnięte kurczowo na czarnym tle sukni i nie wiedział, co począć. Był przecież zawsze surowy i wymagający, słuszność była po jego stronie, ale nie umiał znęcać się nad bezbronnymi. Tu trzeba byłoby jeszcze jedną troską zgnębić tę słabą kobietę. A jednak musiał powiedzieć, poco ją wezwało, musiał jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

Chcąc zyskać na czasie, by możliwie najlepiej wywiązać się z zadania, spytał o warunki, w jakich się chłopiec uczy, czy ma pomoc, jaka itp.

Pani Remboszowa wchłaniała każde słowo, że warunki ma dobre, pomocy zdaje się na razie nie potrzebuje. Z dalszej rozmowy dowiedział się, że pan Rembosz umarł trzy lata temu, wdowa później mieszkała ze swym ojcem. Dziadek gorliwie opiekował się Mietkiem, trzymał go krótko, chłopiec był posłuszny i karny.

— Teraz ojciec mój umarł, dziecko już nie czuje nad sobą męskiej ręki, może jest nieco swawolniejszy... jest sierotą, ma już tylko mnie.

Pan Wilk miał niejakie wątpliwości, czy rozwidrzony Mietek myślał o tem, że ma „tylko matkę“, ale z opowiadania widział, że ona — matka — ma „tylko Mietka“, że ten urwis jest jedyną jej radością, celem życia, wszystkim i, że cokolwiek powie na niego, ugodzi najpierw w jej obolałe serce.

Postanowił: nie powie nic, sam w cztery oczy porozmawia z nim, może mu przecież trafi do rozumu i serca.

Podziękował za wszystkie informacje.

— To takie ważne dla nas.

Pocieszył matkę, że chłopiec jest zdolny, że, jeśli zechce, może być czołowym uczniem, że jeszcze nie wciągnął się w rygor szkolny, ale przy dobrych chęciach itd., itd.

Pani Remboszowa wchłaniała każde słowo profesora, wreszcie wyszła spokojna i pogodna.

A Mietek?

Od chwili, kiedy oddał matce list i zebrał z miejsca bez zająknięcia, że pojęcia nie ma, o co chodził, nie miał spokoju.

Matka poszła przerażona i drżąca, a on chodził po pokoju, mając wiele czasu na rozmyślanie, snuł niemiłe plany. Żał mu było matki, wyobrażał sobie jej powrót, lzy... Doktor mówi, że serce ma słabe...

Czekaj, przebrzydły Wilczuro! Już ja ci sprawię: po ulicach będą za nim wyli, w sprawy pod oknem. Czekaj.

Podszedł do okna. Po drugiej stronie ulicy nianka prowadziła dziecko, a dziecko trzymało psa na smyczy, czasem pies wybiegał naprzód i wtedy wyglądało tak, że pies prowadzi dziecko, a dziecko niankę. Ten widok rozproszył na

chwilę ponure myśli Mietka. Ale po chwili wróciły złe żądze. Pies miał kaganiec...

— Kupię mu taki i przypnę ztyłu do palta.

Dzwonek. Matka wróciła. Słyszał, jak się rozbiera, daje jakieś polecenia służącej, idzie do jego pokoju... Zacisnął zęby. Teraz się zacznie. Było mu żal i wstyd. Weszła. Podniósł oczy i zdumiał się: twarz matki była pogodna, usta uśmiechnięte.

— Jak gardło?

— Już nie boli. A tam co słyszał?

— Chwała Bogu! o nie takiego! Pytał o warunki domowe. Taki widocznie zwyczaj, bardzo zresztą słuszny. Ale mnie pocieszył ten twój pan wychowawca! To jakiś zacny człowiek. A przyznam ci się, moje dziecko kochane, byłam niespokojna, przypuszczałam, że coś musiało przeskrobać, bo minę miałaś niepewną, ale to widać wskutek tego gardła. Mówił, że jesteś zdolny, że o ile się postarasz, to będzie wszystko dobrze. Uspokajał mnie, żeby się nie przejmować nie martwić. Tak się pocieszyłam. Wiesz i ty się rumienisz z radości, moje dziecko kochane!

A Mietek rzeczywiście czuł, jak mu krew napływa do twarzy, ale nie był to objaw radości.

Nie powiedział. Dlaczego nie powiedział?

Czuł wdzięczność, a jednocześnie wstyd, upokorzenie, niepokój.

Kiedy został sam, znów chodził po pokoju, wicherzył czuprynę, marszczył brwi, myślał, ale nic wymyśleć nie mógł.

Dlaczego nie powiedział?

Przypomniły mu się słowa matki: wszedł z taką srogą miną... a więc był gniewny, chciał powiedzieć dopiero później się rozmyślił. Mietek wyobraził sobie siebie w roli pana Wilka. Wchodzi... Ach, tak. Zrozumiał, żal mu było mamy. Uczuł, że znów gorąca fala krwi oblewa mu twarz. Profesor, obcy, nieznajomy, nie chciał zrobić przykrości...

— A ja?... Łajdak... podły... — zgrzytnął szpetnie, ale już pod innym niż pierwszej adresem.

A nazajutrz zaraz przy wejściu do szkoły chwycił go Szarski:

— Wilk już jest będziemy wyli!

Mietek nie odpowiedział, wszedł do klasy i krzyknął:

— Baczność... coś powiem.

— Cicho, Rembosz chce mówić.

Ciekawostki

ŚMIECH U DZIKICH PLEMION.

Śmiech — to zdrowie, mówimy zawsze. Każdy lubi widzieć wkoło siebie uśmiechnięte i śmiejące się osoby, zaraz się od tego robi pogodniej na duszy. Istnieją dzikie plemiona, które uważają śmiech za niezbędną część pewnych uroczystości. Niektóre obchody religijne zaczynają się więc od tego, że zgromadzona w jednym miejscu ludność wybucha serdecznym śmiechem. Również zwyczajem obowiązującym u tych plemion jest śmianie się przy zapalaniu ognia.

40 000 koni parowych.

Olbrzymi statek transatlantyki „Normandie“, budowany obecnie we Francji, będzie miał najpotężniejszego motor świata, o sile 40 tysięcy koni. W ten sposób Francja odbierze pierwszeństwo Ameryce, która dotychczas szczyciła się tem, że posiada na dwóch swoich największych okrętach silniki po 22 tysiące sił konskich.

Chwila śmiechu

BLASKI I CIENIE ARENY.

Spotyka się dwóch artystów cyrkowych.

— Dzień dobry, signor Marinelli, czy jeździ pan jeszcze ze swą trupą akrobatyczną?

— Tak, tylko, że babci już nie zawsze udaje się podwójne salto mortale!

UWAGA NA KONIA!

Wieczorem jedzie dorożką zakochana para i bez przerwy namiętnie się całuje.

Zirytowało to dryndziarza. Mistrz barta odwraca się na koźle i woła do czulej pary:

— Nie emokajcie tak, bo mi konisko pędzi i całkiem się zgrzeje...

PRZED OBJEKTYWEM.

Do atelier fotograficznego wchodzi je-
gomość i prosi o zrobienie dwóch zdjęć.

Fotograf sadza go przed aparatem, ustawia i powiada:

— Poproszę o przyjemny wyraz twarzy!

— Nie mogę...

— Dlaczego?

— Bo to zdjęcie muszę załączyć do świadectwa ubóstwa!

REKLAMA.

Księgarz (do autora): — Pańskie dzieła nie idą wcale. Zrób pan sobie jaką reklamę.

Autor: — Cóż mam uczynić?

Księgarz: — No, coś rozgłośnego. Na przykład... naprzykład... zastrzel się pan!

JEDYNE PRAGNIENIE.

Spytał raz ktoś bawarczyka, jakiego miał trzy życzenia, gdyby wiedział, że się spełnią. Ten odparł:

— Naprzód chciałbym mieć tyle piwa, ilebym mógł wypić.

— A drugie życzenie?

— Chciałbym mieć tyle wołowiny, ilebym tylko mógł zjeść.

— No a trzecie życzenie?

— Trzecie? Chciałbym jeszcze kufel piwa.

NA ZEBRANIU LITERACKIM.

Poeta: — Żeby to świat mógł zobaczyć moją nagą duszę!!!

Sasiadka przy stole: — Może by to było przyjemniejsze od pańskich nagich rąk, bo te wymagają na gwałt mydła i wody.

U SĘDZIEGO.

— Aha... więc oskarżony chciał pana namówić do niezeznanawania u mnie. A czym to on próbował panu usta zatkać?

— Starym pantoflem, jedną parą portek, dziurawą marynarką i dziesięciozłotówką.

POWÓD.

Przed trybunałem wyrokujących w sprawach rozwodowych staje pan Kalasanty Fafulski, ze swą ślubną małżonką panią Bałbiną z Ostrotrzymalowiczów Fafulską, celem uzyskania rozwodu.

Przewodniczący bada wszystkie akta odnoszące się do tej sprawy, wreszcie zwraca się do pana Kalasanteo.

— Więc pan po dwudziestoletnim życiu ze swą żoną żądasz rozwodu? A gdzie są powody?

— Panie sędzio — wyjąknął cicho pan Kalasanty — właściwie to dwudziestopięcioletni ze swą żoną żądasz rozwodu?

DOM Z CIERPIEŃ.

— Widzisz ten dom?

— Widzę.

— Dom ten został zbudowany z ludzkich westchnień i płaczu. Z gorzkich łez przelanych przez narzeczonych i żonatych, z nieludzkich cierpień wdów i sierot.

— Czyj to jest dom?

— Ten dom jest własnością dentysty.

NIE ŻONA.

— Tam, do licha, brak mi pieniędzy w portfelu! Czyżby któreś z naszych dzieci zahawiało się w złodziejstwo?

— Ha, ha, masz pomysły! — oburza się połowica. Równie dobrze mógłbyś i mnie o coś podobnego posądzić!

— Ciebie nie!

— Dlaczego?

— Ponieważ nie wszystkich pieniędzy mi brak!

KREWNY.

— Kto to jest, ten wysoki szatyn, z którym byłeś wczoraj w restauracji.

— To mój krewny przez małżeństwo.

— Przez małżeństwo? Przecie ty jesteś kawalerem!

— Przez małżeństwo moich rodziców. To mój brat.

CIEŻKA KISZKA.

— Mój mąż po operacji ślepej kiszki stracił pięć kilo wagi!

— No, moja pani, ktoby przypuszczał, że taka marna kiszka tyle waży?

EGZAMIN SZOFERSKI.

Śliczna pani Hela postanowiła nau-
czyć się prowadzenia samochodu. Pilnie uczęszczała na specjalne kursy. Po przesłuchaniu kursów, i po ćwiczeniach praktycznych stanęła do egzaminu. Znajomi zapytują:

— No i cóż? Zdała pani egzamin szoferski?

— Teoretyczny zdałam dobrze. A co do praktycznego, to jeszcze nie mam odpowiedzi.

— Dlaczego?

— Bo mój egzaminator jeszcze od czasu egzaminu nie wyszedł ze szpitala.

U WRÓZBITY.

— Niech pan się strzeże cyfry „cztery”...

— A co ona oznacza?

— Trzech sędziów i jednego prokuratora.

DUŻE WYMAGANIA.

Pani Wala ma cokolwiek zadużych biust jak na dzisiejsze wymagania mody. Niedawno pani Wala była u fotografa. Po otrzymaniu zdjęcia prosi:

— Proszę mi to zdjęcie powiększyć. Ale nie cale...

— Jakto nie cale? — pyta zdziwiony fotograf.

— Tak, żeby wszystko powiększyć, ale biust zostawić w tym formacie, jak jest teraz...

POSŁUSZNE DZIECI.

Dwaj malcy kąpią się w rzece.

— Brr! — szczeka zębami jeden z nich — Zimno!

— Okropnie zimno! — potwierdza drugi.

— Gdyby nam byli rodzice tego nie zabronili, toby wogóle było za zimno, żeby się kąpać!

RYCERSKOŚĆ POWIETRZNA.

— Niech się pani nie obawia niczego, już zamykam okiennice.

Il 420, Florencja.

ZAWSZE USŁUŻNY.

Pan: Cóż tam na dworze: deszcze, śnieg, czy pogoda?

Lokaj: Według rozkazu, proszę jaśnie pana.

KONSEKWENCJE.

— Panno Aniu, czy pani pozwoli, abym odtąd mówił pani po imieniu?

— Owszem, jeżeli pan chce łączyć je stale ze swoim nazwiskiem.

W SĄDZIE.

— Powiedziałeś, że twój znajomy jest oszustem i złodziejem. Czy to prawda?

— Prawda to jest, ale ja tego nie powiedziałem.

TO NIELADA GRATKA.

Pewien Szkot bawi z żoną w Chicago. Idąc główną ulicą przystaje przed wystawą restauracji i czyta następujące ogłoszenie: „Obiad od g. 12 do 15 — 50 centów”.

— Wejdźmy — powiada do żony — obiad za 50 centów, który trwa 3 godziny, to nielada gratka.

MIODOWE MIESIĄCE.

Ona: — Ładnie, dopiero tydzień jesteś żonaty, a już tak późno przychodzisz do domu.

On: — Nie mogłem wcześniej przyjść, ponieważ przy stoliku musiałem kolegom opowiadać, jak jestem szczęśliwy.

ROZTARGNIONA NAUCZYCIELKA.

— Która dziś nieobecna?

— Mania Saska.

— Czemu za nią odpowiadasz! Nie może ona sama powiedzieć?

„DZIWNY” TATUŚ.

— Wiesz manusiu, — powiada 8-letnia Halinka — tatuś, to bardzo dziwny.

— No?

— Mnie nazywa dużą dziewczynką, a naszą pokojówkę „małą koteczką”.

ŚWIEŻA KIELBASA.

Prawda, że kielbasa, którą polecił panu na wycieczkę, była wyśmienita?

— Wyśmienita, tegobym nie powiedział, ale w każdym razie świeża, znalazłem w niej kawałek wczorajszej gazety.

DOBRA RADA.

— Tatusiu, daj mi jakąś książkę poróżniczą.

— Weź sobie rozkład jazdy i nie zawracaj mi głowy.

SYN KOLEJARZA.

— W której klasie jesteś chłopczyku?

— Ja niby jestem w 1-szej klasie, ale to nieprawda, bo ławki nie są wyścielane.

ŚCISŁA ODPOWIEDŹ.

Pani wchodzi do kuchni. Zastaje służącą przy czytaniu książki. Zapytuje:

— Co to Marysia czyta? Kto to napisał?

— Kiedy to proszę pani nikt nie napisał. To nie pisane, tylko drukowane.

RAJSKIE ŻYCIE.

— Co u pana słychać?

— Żyję teraz jak w raju!

— To powinszować!

— Niema tak bardzo czego: jestem goły i lada dzień mnie wygonią z mieszkania...

SIEROŃSKI (POMORZE) — ZDOBYWCA NAJLEPSZEGO CZASU W POLSCE W TEGOROCZNYCH MISTRZOSTWACH WOJEWODZKICH

ZGŁOSIŁ SWÓJ UDZIAŁ W I. WYŚCIGU „DOOKOŁA ZIEMI WIELKOPOLSKIEJ”

W dniu wczorajszym wpłynęły trzy dalsze zgłoszenia zawodników do I. Wyścigu „Dookoła Ziemi Wielkopolskiej”, który rozegrany zostanie pod protektorem P. Wojewody hr. Razińskiego w dniach 21 i 22 bm. Jako 17-ty zgłoszony został: Falkenstein Edmund (HCP), 18-ty: Jeliński Józef (Sokół I, Grudziądz), 19-ty: „Sieroński” Aleksander (mistrz województwa pomorskiego), „Sieroński”, który zaliczony został przez P. Z. T. K. również do „elity” kolarskiej, uzyskał w tegorocznych mistrzostwach wojewódzkich najlepszy czas dnia (100 km — 2 godz. 46 min.), jest więc „asem” wysokiej klasy. Gros zgłoszeń zawodników wpłynie dopiero po 15 b. m., tj. po Mistrzostwach Polski, które rozegrane zostaną w niedzielę w Katowicach.

Szesnaście najlepszych kolarzy polskich na zosie zgrupowanych zostanie w obozie treniowym na Bleśnach z początkiem sierpnia celem przygotowania ich do wyścigu Berlin — Warszawa. Wybór tych kolarzy nastąpi na podstawie wyników Mistrzostwa Polski i wyścigu „Dookoła Ziemi Wielkopolskiej”.

Olbrzymie zainteresowanie obudził wyścig „Dookoła Ziemi Wielkopolskiej” o puchar „Dziennika Poznańskiego” na prowincji. Codziennie otrzymujemy listy z zapytaniami, któredy poprowadzi bieg trasy, ilu zawodników weźmie udział i jacy i t. d. Również duże zainteresowanie okazują wszystkie starostwa, przez których tereny przejedzie wyścig.

Start nastąpi w dniu 21 bm. o godz. 9.30 rano przed Redakcją „Dziennika Poznańskiego”, ul. Pocztowa 9. Zbiórka zawodników tamże o godz. 8.30.

W ramach wyścigu odbędzie się w Poznaniu na Stadionie Miejskim sensacyjna i wielce atrakcyjna mecz piłki nożnej: Legia — H. C. P. dwóch czołowych drużyn naszego okręgu, mistrza i wicemistrza P. O. Z. P. N-u na rok 1934. Mecz rozpocznie się o godz. 16-ej, a w czasie przerwy nastąpi finisz wyścigu „Dookoła Ziemi Wielkopolskiej”. Tak więc publiczność zgromadzona na Stadionie będzie miała sposobność oglądania dwóch pierwszorzędných atrakcyjnych sportowych. Bilety wstępu tylko po 50 i 80 groszy.

Z KRAJU

Poświęcenie nowego kościoła

Żnin. W ub. niedzielę dokonał w Kierzkowie pow. żnińskiego ks. dziekan Rólski z Szczepanowa poświęcenia nowego kościoła, który stanął dzięki ofiarności parafian i wytrwałej pracy ks. prob. Janiszewskiego. W uroczystości wzięło liczny udział duchowieństwo sąsiednich parafii oraz przedstawiciel rządu, pan starosta Wuyek. (x)

Uwolnienie 19 rolników

Strzelno. Do nadleśnictwa Miradz w pow. mogileńskim zgłosił się robotnik z Ostrowa, Andrzej Zakrzyński z doniesieniem o kradzieży większej ilości drzewa na terenie nadleśnictwa. Zakrzyński podał nazwiska 19 rolników z Ostrowa i Bielska, jako sprawców kradzieży. Nadleśnictwo skierowało sprawę do sądu.

Rozprawa w Sadzie Grodzkim w Strzelnie wykazała zupełny brak winy ze strony oskarżonych. Ujawniono natomiast, że to właśnie donosiciel, Zakrzyński, był złodziejem drzewa. Podczas ostatniego zrebu dano na niego specjalną uwagę, udaremniając dalszą kradzież, a drzewo dawniej skradzione odebrała policja.

Zakrzyński uplanował zemstę i oskarżył o kradzież tych, którzy jemu właśnie w niej przeschodzili. Przedstawił nawet świadka, Jana Króla z Ostrowa, którego namówił do fałszywych zeznań.

Kiedy w toku rozprawy wyszło to na jaw, Sąd sprawę karna przeciw oskarżonym umorzył. Fałszywy donosiciel zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. (ss)

Wielkie nadużycia w bydgoskim oddziale Gieschego

W Bydgoszczy wielkie nadużycia na szkodę Katowickiej firmy Giesche zostały popełnione przez dyrektora bydgoskiego oddziału, Preissa. Śledztwo wykazało na jaw ogromne nieporządki w kasie i w prowadzeniu księgowości.

Na podstawie wyników dotychczasowych badań, stwierdzono sumę nadużyć na 200.000 zł., w toku dalszych dochodzeń suma ta przypuszczalnie jeszcze wzrośnie.

Dyr. Preiss, który przez systematycznie popełniane nadużycia wyrządził reprezentowanej przez siebie firmie wielkie szkody, czując niebezpieczeństwo wykrycia, jeszcze przed oddaniem sprawy policji zdołał się ukryć. Śledztwo stwierdziło, że wyjechał do Niemiec, gdzie kupił sobie kamienieć.

Aresztowano natomiast jego pomocnika, Dębowski, którego osadzono w areszcie.

W wielką tę aferę zamieszanych jest wiele osób, ale szczegóły ze względu na toczące się jeszcze śledztwo trzymane są narazie w tajemnicy.

Święto chorych

Święto chorych odbyło się po raz pierwszy we Wrześni dnia 11 bm. zorganizowane przez tuł. Stow. Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. W nabożeństwie które się odbyło o godz. 9-ej w kościele parafialnym wzięło udział około 50 chorych z miasta.

Podczas nabożeństwa wszyscy chorzy przystąpili do Stołu Pańskiego. Po nabożeństwie ugoszczono chorych skromnym posiłkiem.

Gen. Taczak na zebraniu weteranów

W Janikowie pow. inowrocławski odbyło się pierwsze plenarne zebranie Związku Weteranów Powstań Narodowych 1914—1919, które zaszczylił swoją obecnością prezes Zarządu Głównego p. gen. Taczak.

Zebranie zajął prezes p. Bałcerzek na przewodniczącego powołano wicyprezesa p. Śniegowskiego.

P. gen. Taczak w blisko dwugodzinnej referacji scharakteryzował cel i charakter Związku oraz przedstawił potrzebę istnienia Koła w Janikowie.

W szczególności polecił przyspieszenie przesyłania wypełnionych kwestionariuszy, w celu otrzymania weryfikacji, gdyż zweryfikowany może zostać każdy nieposzlakowany — Powstaniec i Wojak, — który udowodni, że brał udział we walkach o Niepodległość i w obronie Rzeczypospolitej Polskiej, bez względu na obecny wiek kandydata. (x)

Giełdy

Cedula giełdy zbożowej w Poznaniu

Żyto 15 t. par. Poznań 13.35		
Żyto 30 t. par. Poznań 13.75		
Żyto 87 t. par. Poznań 14.75	13.75	14.75
usposobienie spokojne		
Pszenica	17.25	17.50
usposobienie stałe.		
Jęczmień zimowy	14.25	14.50
usposobienie spokojne.		
Owies	13.75	14.25
Usposobienie spokojne		
Mąka żytnia I gat. 0—55% wł. w	20.50	21.50
Mąka żytnia I. gat. 0—65% wł. w	19.—	20.—
Mąka żytnia II. gat. 55—70% wł. w.	14.50	15.50
Mąka żytnia poślednia ponad 70%	12.50	13.50
Mąka żytnia razowa 0-95%	16.50	17.50
usposobienie spokojne		
Mąka pszenna gat. IA 0-20% wł. w.	31.—	34.—
Mąka pszenna gat. IB 0-45%	29.—	29.50
Mąka pszenna gat. IC 0-55%	28.—	28.50
Mąka pszenna ID 0-60%	27.—	27.50
Mąka pszenna IE 0-60%	26.—	26.50
Mąka pszenna IIA 20-55%	25.—	25.50
Mąka pszenna IIB 20-65%	24.50	25.—
Mąka pszenna IID 45-65%	22.—	22.50
Mąka pszenna IIF 55-65%	18.50	19.—
Mąka pszenna IIIA 65-70%	16.50	17.—
Mąka pszenna IIIB 70-75%	13.50	14.—
Usposobienie spokojne		
Otręby żytnie przem. standart.	10.00	10.50
Otręby pszen. grube przem. standart.	11.25	11.50
Otręby pszenne średn. przem. standart.	10.75	11.00
Rzepak zimowy	36.—	39.—
Rzepak zimowy	38.—	40.—
Łubin niebieski	10.25	11.00
Łubin żółty	11.50	12.50
Inkarnatka	85.—	90.—
Śloma pszena luzem	1.50	1.75
Śloma pszena prasowana	2.—	2.30
Śloma żytnia luzem	2.—	2.25
Śloma żytnia prasowana	2.30	2.60
Śloma owsiana luzem	1.50	1.75

Śloma owsiana prasowana	2.—	2.30
Śloma jęczmienna luzem	1.50	1.75
Śloma jęczmienna prasowana	2.—	2.30
Śloma żytnia luzem	6.—	6.50
Śloma żytnia prasowana	6.50	7.00
Śloma nadnoteczki luzem	7.00	7.50
Śloma nadnoteczki prasowane	7.50	8.00
Makuch lśniący w taflach	19.00	19.50
Makuch rzepakowy w taflach	13.25	13.75
Makuch słonecznikowy w taflach 42/43%	16.75	17.25
Śrut Soja	19.50	20.—
Mak niebieski	52.—	58.—

Ogólne usposobienie spokojne.

Transakcje na odmiennych warunkach: żyta 260 t., pszenicy 306 t., jęczmienia 77.5 t., owsa 25 t., maki żytniej 88.5 t., maki pszennej 10.5 t., otrąb żytnich 365 t., otrąb pszennych 105 t., rzepaku 15 t., wyki 45.2 t. gorczycy 12 t., grochu polnego 2 t., grochu Viktoria 4 t., grochu Folgera 2.9 t., łubinu niebieskiego 72.5 t., łubinu żółtego 5 t., inkarnatki 0.5 t., nasion 9.6 t., makuchu ziemianego 15 t., ziemniaków jadalnych 11 t.

Poznań, dnia 13 lipca 1934 r.

Uwaga! Ceny notowane orientacyjne za żyto, oddającą się również do żyta nowego zdanego do przemiału.

Giełda pieniężna w Warszawie

Neoficjalne notowania na przedgieldzie

Warszawa (Tel. wł.) 13. 7. godz. 13. — Dolar 5.27 i pół. Bank Polski płacił 5.26, marka niemiecka 199.00.

Dewizy: Berlin 203.00, Holandia 358.85, Londyn 26.67, Paryż 34.91, Szwajcaria 172.48.

Dolarówka 52.75. Akcje Banku Polskiego 35.50.

Giełda pieniężna w Poznaniu

Poznań, dnia 13. 7. 34. — Tendencja dzisiejszego zebrania giełdowego była spokojna. Z pożyczek państwowych płacono 5 proc. poź. konwers. 62%, za 4 proc. premj. dol. 52, za 4 proc. poź. inwest. 108 oraz za 3 proc. poź. budowl. 44. W papierach lokacyjnych P.Z.K. obracano 4½ proc. listy dolar. w złocie po 42 proc. w placeniu oraz 4 proc. listy zast. konwert. po 41½—41 proc. również w placeniu. Poza tem poszukiwano 4½ proc. listy zast. złotych po 42 proc. bez oddawców. — Z akcji bankowych obracano mniejszą ilość B-ku Polskiego po 85½ bez notowania kursu.

Radio

Niedziela, dnia 15. lipca 1934.

Poznań 8.30 Audycja poranna; 10.00 Transmisja nabożeństwa. Kazanie p. tyt. „Zdań sprawę z władztwa twego”; Po nabożeństwie — muzyka religijna z płyt; 11.57 Sygnał czasu; 12.00 Hejnał z wieży Mariackiej; 12.03 Komunikat meteorologiczny; 12.10 Poranek muz.; 13.00 Felj. pt. „Piękna przyroda w muzyce”; 13.10 Muzyka lekka; 13.45 Odczyt o Italji; 14.00 Pieśni karaimskie; 14.20 Koncert; 15.00 „Rolnictwo w Sowietach”; 15.15 Muzyka ludowa z płyt; 15.25 Przegląd rynków produktów rolnych; 15.35 Muzyka ludowa z płyt; 15.45 Pogadanka roln. pt. „Wychów cieląt”; 16.00 Muzyka lekka i popularna; 17.00 Życie kultur. art. i społeczne Poznania; 17.10 Koncert solistów; 18.00 Pogad. roln. pt. „O czym nas uczą nowe ustawy”; 18.15 Jazzowa muzyka dwufortepianowa; 18.45 Felj. pt. „Życie literackie Krakowa”; 19.00 Rozmaitości; 19.15 Muzyka lekka; 20.00 „Myśli wybrane”; 20.02 Felj. aktualny; 20.12 Koncert popularny; 20.50 Dziennik wieczorny; 21.00 Transmisja capstrzyku marynarki woj.; 21.02 „Na wesolej lwowskiej fali”; 22.00 „Ludzie wykluczenia poza obręb społeczeństwa”; 22.15 Wiadom. sportowe ze wszystkich rozgl. P. R.; 22.30 Muzyka taneczna z płyt; 23.00 Wiadom. meteorol.; 23.05 Muzyka tan.

Poniedziałek, dnia 16. lipca 1934.

Poznań, 6.30 Audycja poranna; 7.20 Życie kulturalne i art. Poznania; 11.57 Sygnał czasu. hejnał z wieży Mari.; 12.03 Wiadom. meteorol.; 12.05 Codzienny przegląd prasy polskiej; 12.10 Muzyka lekka; 13.00 Dziennik południowy; 13.05 Koncert z płyt gramof.; 14.00 Wiadom. o eksporcie polskim; 14.05 Notowania giełdowe; 16.00 Koncert ork. wiejskiej; 17.00 Program dla dzieci; Obrazek słuchawiskowy; 17.15 Recital skrzypcowy; 17.40 Recital śpiewaczy; 18.00 Pogad. pt. Kobieta na Węgrzech; 18.15 Koncert kameralny; 18.45 Pogadanka Bruna na Winawera; 18.55 Skrzynka poczt. techniczna; 19.00 Rozmaitości; 19.15 Audycja żołnierska; 19.40 Muzyka salonowa (płyty); 19.50 Wiadomości sportowe (Warszawa); 19.55 Wiadomości sportowe Poznania; 20.00 „Myśli wybrane”; 20.02 Felj. pt. „Bądźmy młodzi”; 20.12 Muz. lekka; 20.50 Dziennik wieczorny; 21.00 Transm. capstrzyku marynarki wojennej; 21.02 Skrzynka rolnicza; 21.12 Koncert popularny; 22.00 Felj. lit. pt. „W walce ze szkodliwym mitem”; 22.15 Muzyka tan.; 23.00 Wiadomości meteorologiczne.

Dział urzędowy

Z dniem 11 lipca 1934 r. rozpocząłem urlop wypoczynkowy. Podczas urlopu zastępować mnie będzie w Starostwie i w Wydziale Powiatowym Pan Referendarz Gustaw Bojanowski. Starosta i Przewodniczący Wydziału Powiat. (—) Dr. Ekkert.

Kronika miejscowa

lipiec

15

niedziela

Kalendarz rzymsko-kat.
Niedziela Rozesłanie Ap.
Poniedz. N.M.P. Szkapł.
Kalendarz słowiański
Niedziela Radosław
Poniedz. Dzierżysława
Słońce wsch.: 3.32
zach.: 19.51
Księżyc wsch.: 7.51
zach.: 21.35

Dyżur nocny z soboty na wtorek pełni Dr. Wojtkiewicz ul. Sienkiewicza 2 (tel. 83). Apteka Stara, Rynek (tel. 96).

Kino Apollo: „Miłość i zemsta dońskiego kozaka“.

Kino Corso: „Grzech jednej nocy“.

Ruch ludności. W urzędzie stanu cywilnego zgłoszono w dniu 13 b. m. Urodzenia: syna: pracownik kolejowy Stanisław Nurski, córkę: piewowar Roman Wojciech Tomczak. — Zgony: Pelagia Grzesiak z Ostrowa 31 lat.

Żałobne karły

W czwartek w godzinach popołudniowych przeciągnął ulicami naszego miasta ze szpitala wojsk. na Nowy cmentarz niecodzienny kondukt żałobny, odprowadzający zmarłego — wśród tragicznych okoliczności — żołnierza 60 p. p. śp. Jana Górnego. I w czasie pokoju może śmierć ponieść żołnierz na posterunku. Na trumnie złożono stalowy hełm żołnierski i ładownice — jako symbol przynależności zmarłego do armii czynnej R. P. Na czele pogrzebu kroczyła orkiestra kolejowa (w miejsce urlopowanej orkiestry 60 p. p.) odprowadzająca śp. zmarłego żałobnikami dźwiękami, dalej postępował honorowy pluton 60 p. p., niesiono trzy piękne wieńce z ramienia korpusu oficerskiego, korpusu podoficerskiego i szeregowców. Korpus oficerski postępował za rodziną ś. p. Górnego z p. ppłk. Duchem na czele. Kondukt zamykała kompania 60 p. p. oraz liczny tłum. (sm.)

Nadmierna gorliwość leśniczego

W lasach Radziwiłła w Zawidzinie Władysław Garlik zbierał jagody i na tym „przystępczym” czynie zastał go leśniczy Andrzej Nowacki, oraz jego dwóch pomocników leśnych.

Nowacki podszedł do zbierającego jagody Garlika i uderzył go kilkakrotnie kolbą strzelby po głowie. Uderzenia były tak silne, że strzelba wypaliła, na szczęście nikogo nie raniąc. Pobity Garlik uszedł kilka kroków od miejsca pobicia i padł nieprzytomny na ziemię. Zawezwany lekarz p. dr. Karbowski stwierdził kilkunastocentymetrowe rany na głowie, odstawiając pobitego do szpitala powiatowego w Ostrowie.

Życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo. Nadmiernie gorliwym leśniczym zajęła się policja.

Smutny wypadek na wesolem miasteczku

Bawiący od kilkunastu dni Luna Park cieszy się wielkim powodzeniem, a szczególnie licznie odwiedzana jest „beczka śmiechu”. Niezawsze jednak beczka rozbrzmiewa śmiechem, gdyż wczoraj rozbawioną publiczność zaskoczył przeraźliwy krzyk bólu.

Jak wiadomo, całą wesolą w tej beczce wywołują sceny wywracania się osób, nie

Z odcinka pracy obywatelskiej nauczycielstwa szkoły powszechnej w Krępie

Powszechnie znaną jest rzeczą, że szkoła na wsi jest w większości wypadków jedyną oazą kultury, skąd światło bądź pośrednio, przez młodzież szkolną, bądź też bezpośrednio przez ofiarną i celową pracę nauczycielstwa w przeróżnych organizacjach oświatowych, gospodarczych i społeczno-wychowawczych rozprzestrzenia się na daną wioskę lub kilka wiosek. Tak dzieje się w większości wypadków, gdy dana wieś leży w znacznej odległości od ośrodków kultury, za jakie uważa się miasta, i gdy niemożliwe jest ze względów geograficznych bezpośrednie oddziaływanie kultury miasta na łaknącą jej wieś.

Gdy jednak dana wioska graniczy bezpośrednio z miastem, siłą faktów następuje naturalne ciążenie jej do niego, i pewnego rodzaju zależność, idąca w parze z zależnością gospodarczą, jako od chłonnego rynku zbytu produktów rolnych, nabiału, drobiu, i t. d. oraz w mniejszej lub większej mierze pojemnego rynku pracy najemnej, w zależności od sytuacji przemysłowej danego osiedla i od sytuacji gospodarczej kraju. Sposób jednakowoż oddziaływania miasta na ludność podmiejską nie zawsze jest dodatni.

Brak dostatecznych środków na zaspokojenie potrzeb kulturalnych wyższego rzędu i brak zrozumienia dla potrzeb duchowych — powodują, że bezkrytyczna i pozbawiona niejednokrotnie odpowiedniego kierownictwa ludność wiejska bierze z miasta to, co w danych warunkach jest dla niej dostępne i co najbardziej rzuca się w oczy, a więc tani blichtr, tanie i mało wartościowe widowiska, oraz bardzo wątpliwej wartości zabawy w podrzędnych knajpach, w gronie podejrzanego towarzystwa.

Z uwagi więc na powyższe, miasto prze-ważnie zgubnie oddziałuje na ludność podmiejską i zamiast ją moralnie podnosić, wynacza jej charakter. W oświeceniu zaś tem zrozumiałem się nam stałe. Dlaczego najwięcej meł społecznych, największy procent ludzi wypracowanych wywodzi się z dzielnic pod-

miejskich i najbliższych okolicznych wiosek.

I dlatego nieocenioną wprost staje się praca oświatowa tych jednostek i placówek, które chcą temu przeciwdziałać i przez umiejętną organizację życia społecznego zgubny wpływ miasta zwalczyć, a nastawić dusze i umysły na to, co jest szlachetne i godziwe i czego przeciętny mieszkaniec dzielnic podmiejskiej sam spotrzec nie może a temsamem sobie przyswoić.

Tak jest wszędzie, tak może było dawniej i w Krępie, a dzisiaj jest znacznie lepiej. Że Krępa, granicząca o miedzę z Ostrowem, a od kilku miesięcy wchodząca w skład tego miasta, wyróżnia się znacznie od innych dzielnic podmiejskich, zasługą to jest w znacznej mierze miejscowej szkoły powszechnej, a ściślej mówiąc, jej personelu nauczycielskiego, który pod światłem i wytrawnym kierownictwem p. Sosnowskiego, nie szczędzi pracy, by podnieść mieszkańców Krępy zarówno pod względem moralnym jak i duchowym.

Niemą prawie odcinka pracy społecznej, państwowo twórczej i obywatelsko-wychowawczej, której kierownictwo nie spoczywałoby w rękach miejscowego nauczycielstwa. Silny i dobrze prowadzony oddział Związku Strzeleckiego pod doświadczonego kierownictwem prezesa oddziału p. nauczyciela Babola Franciszka, świetnie rozwijający się LOPP, który dał kilka wcale udanych imprez, pod patronatem nauczyciela p. Jana Znamierowskiego, pięknie rozwinięte harcerstwo pod egidą zapalonego sportsmena, p. nauczyciela Piotra Kaja, i cały szereg budujących obchodów, rocznic narodowych, odczytów, pogadanek, uroczystości wychowawczych, jak święto dziecka, święto matki, kult tańców narodowych, przedstawienia, poranki, wieczorki, — oto olbrzymi szereg wyczynów ze strony nauczycielstwa w Krępie na polu pracy społecznej i obywatelsko-wychowawczej dla dobra miejscowej ludności, a przez to i dla naszego państwa.

Julian Krzyżanowski.

potrafiących utrzymać się na wirującej przestrzeli.

Skutkiem takiego upadku złamał sobie nogę pracownik kolejowy niejaki Walczak, którego odwieziono do szpitala.

Z miesięcznego zebrania N Ch. Z. R.

W sali hotelu Polonia odbyło się onegdaj zebranie miesięczne Narodowo-Chrześcijańskiego Zjednoczenia Rzemiosła, któremu przewodniczył prezes p. Smentek, oddając hołd męczeńskiej śmierci śp. min. Pierackiego.

Następnie wygłosił p. Julian Walczak referat na temat Związku Izb Handlowych i ich roli w życiu gospodarczym rzemiosła. Doskonale opracowany i bardzo jasno przedstawiony referat został przez zebranych w wielkim skupieniu wysłuchany.

Następnie omawiano sprawy organizacyjne, poczem około godz. 11 p. prezes Smentek zebranie solwował hasłem „Cześć Rzemiosłu“

Popularny pociąg do Antonina

Zostanie uruchomiony od dnia 15. 7. 1934 r. w każdą niedzielę i święto specjalny pociąg popularny z następującym rozkładem jazdy: odjazd z Ostrowa 13.50 — wyjazd z Antonina 21.25.

Cena biletu tam i spowrotem wyniesie w klasie III tylko 1.00 zł, w klasie II — 1.50 zł. Również Kalisz będzie miał odpowiednie połączenie. — Pierwszy kurs pociąg ten robi w dniu 15 b. m. (sm.)

Osobiste. „Inspektor Pracy 57 Obwodu w Ostrowie p. Sukiennicki Antoni rozpoczął z dn. 11. 7. 5-cio tygodniowy urlop wypoczynkowy. W czasie tym zastępować go będzie Inspektor Pracy 56 Obwodu w Lesznie który przyjeżdżać będzie raz w tygodniu (czwartki) do Ostrowa“

„Absolwenci Szk. Doksz. Zaw.“ Wszystkie zebrania plenarne odbywać się będą w pierwszą niedzielę po pierwszym każdego miesiąca o godz. 11-tej w auli szkoły Ew. Estkowskiego. Również zbiórki co do zajęć sportowych odbywają się w każdy poniedziałek i czwartek o godz. 7—9-tej wieczorem na dziedzińcu powyższej szkoły

Katastrofa lotnicza pod Krakowem

Kraków (PAT) Wczoraj przed południem na Pradniku Czerwonym pod Krakowem wydarzyła się katastrofa lotnicza. Mianowicie samolot stanął nagle w płomieniach, poczem runął na ziemię, grzebiąc pod sobą pilota który poniósł śmierć na miejscu.

Na politechnice gdańskiej odbyło się zebranie studentów i profesorów, protestujące przeciwko terrorowi antyniemieckiemu, uprawianemu przez Litwinów na terenie Kłajpedy.

Zakład artystyczno — rzeźbiarski i bronzowniczy

Wykonuję wszelkie prace w mój zakres wchodzące:

Rzeźba monumentalna

współczesne architektury, Pomniki, grobowce, nagrobki i t. p. z rozmaitych gatunków kamienia naturalnego i sztucznego.

Rzeźba dekoracyjna

prace łasadowe i wewnętrzne, płasko-rzeźby, ornamentacje, mozaiki, stiuki, rzeźby w gipsie i cemencie.

Rzeźba kościelna

prace figuralne, budowa ołtarzy, ambon, chrzcielnic itp. wypukło i płasko-rzeźby w każdym materiale.

Dzielnia bronzownicza

figury, portrety, tablice pamiątkowe, plakiety, nagrody sport. itd.

Wszystkie moje wyroby dostarczam punktualnie fachowo o wysokiej wartości artystycznej. **Jedyny fachowy zakład w mieście.** Mając poza sobą długoletnie studia pod kierunkiem wybitnych profesorów, jestem w możności zadowolić najwybredniejsze gusta.

Szanowne obywatelstwo miasta i okolicy proszę o łaskawe poparcie.

Z poważaniem

Edmund Ast, Ostrów
ul. Kardynała Ledóchowskiego 8.

Najskuteczniejszą samopomocą
w walce z kryzysem jest

zakup towarów

w firmie

Dom Handlowy

F. WOZNIAK

Poznań, Kramarska 16.

5774

Bryndzę majową

najlepszej jakości wysyła od
5 kg. wwyż za pobraniem

Bryndzarnia „Lipto” w Bielsku.

Z dniem 1 lipca 1934 r. przeniosłem
z Ostrzeszowa do **OSTROWA, moją**
kancelarię adwokacką, która odąd
mieści się przy

ulicy Wrocławskiej nr. 1-3
w domu p. Hentschlowej) **tel. nr. 201**

Ostrów, dnia 3 lipca 1934 r.

Heljodor Ciszak, adwokat.

411

„Carlton”

Ażeby Szan. Publiczności dać możliwość
spędzić wolną chwilę
zniżyłem specjalnie
ceny w przyjemnym ogródku, także
w czasie koncertu wieczorem.

Ogród otwarty od godziny 2 popołudniu.

DO 481

Właściciel.

HEMOROIDY

należą do cierpień wyjątkowo dokuczliwych i denerwujących często zmuszają chorego do pozostawienia w łóżku, gdy utrudniają ruchy i odbierają chęć do pracy.

Natychmiastowe leczenie zapobiega powikłaniom daje możliwość szybszego pozbycia się ich

Tylko czopki Magistra Wolskiego „Kastanol” — jedyny zawierający składniki roślinne między innymi Kasztanowiec Indyjski, który był stosowany przeciw hemoroidom nawet w starożytności, daje w krótkim czasie skuteczne wyniki w cierpieniach hemoroidalnych: usuwa krwawienie, swędzenie, zmniejsza obrzmienia, koja ból, wyróżniając się zarazem swym łagodnym działaniem.

Czopki „Kastanol” do nabycia w aptekach drogeriach lub w wypożyczalni Mgr Wolski Warszawa, ul. Żłota 14. Obiaśniające broszury wysyłamy bezpłatnie. Czopki roślinne „Kastanol” stanowią nierzawalniejsze leczenie i nową zdobycz w walce z hemoroidami. 3761

WYJAŚNIENIE.

Na odpowiedź podpisaną przez Zarząd Tow. Powstańców i Wojaków oraz Uczestników Powstania Wielk. 1918/19 r. ogłoszoną w Odrodzeniu Ostrowskim z dnia 22. 6. b. r. nr. 50 — Zarząd Związku Weteranów Powstań Narodowych R. P. 1914/19 r. w Ostrowie wyjaśnia, że ogłoszony przez niego podpisany Zarząd w dniu 24. IV. wgl. 25. IV. b. r. „Komunikat dla powstańców” dotyczy członków Koła, co też wyraźnie z tegoż komunikatu wynika.

Ogłoszenie komunikatu wyżej podanego nastąpiło na podstawie okólnika Zarządu Głównego z dnia 28. III. b. r. nr. 3. pkt. 5.

Wobec tego stwierdzamy niniejszem, że ani Zarząd Tow. Powstańców i Wojaków ani też Uczest. Powst. Wielk. 1918/19 nie był i nie jest upoważniony do aprobowania ogłoszeń, bądź też komunikatów Zarządu Głównego wgl. Koła naszego. W przyszłości na podobne odpowiedzi odpowiadać nie będziemy.

Za Zarząd

(—) Organiściak
prezes.

(—) Jeziorny
sekretarz.

(—) Jóźwiak
wiceprezes.

(—) Wł. Kupczyk
skarbnik.

(—) Ed. Buchwald
komendant.

D. O. 416

DZIERŻAWA POLOWANIA W NAMYSŁAKACH.

W dniu 30 lipca br. o godz. 12 odbędzie się w tut. Starostwie Powiatowym ustny ograniczony przetarg na wdzierżawienie polowania na terenie rozparcelowanego majątku państwowego Namysłaki.

Obszar terenu polowania wynosi ca. 420 ha, okres dzierżawy 6 lat, licząc od 1. 7. 1934, do 30. 6. 1940 r.

Taksa wywoławcza wynosi 300 złotych.

Inne szczegółowe warunki podane zostaną interesowanym do wiadomości przed otwarciem przetargu. Szczegółowych informacji udziela Starostwo Powiatowe Referat Rolnictwa i Reform Rolnych.

Za Starostę Powiatowego

(—) Danecki, Komisarz Ziemski.

D. O. 417



NOWOŚCI WIOSENNE

Forebki damskie od 0.75
Parasole od 2.55
Parasole męskie od 5.40
Walizy od 1.40

Kufry

Feki płócienne

Feki skórzane

Portmonetki

Portfele

Najtańsze źródło zakupu
tylko w fachowym składzie
specjalnym gdzie
wybór olbrzymi i własna
praca w Ceny kryzysowe

WIKTOR CZYSZ

Poznań, ul. Szkolna 11
naprzeciw Szpitala



**Reklama
dźwignia
handlu**



**Najtaniej i najskuteczniej
ogłasza się**

w „Dzienniku Ostrowskim”

OGŁOSZENIA DROBNE

SPRZEDAŻ

LUBIN

złoty i niebieski ma stać na składzie Firma Paweł Than ul. Szpitalna 12 (telefon 68).

D. O. 414

KUPNA

KUPIJE

każdą ilość odpadków i blachy cynkowej — Edmund Ast, Ostrów ulica Kardynała Ledóchowskiego 8. D. O. 415

WIATRÓWKA

w dobrym stanie (Bügel schpauer) 6½-nym sprzedam okazjnie — oraz skrzypce używane z futerałem. Zgłoszenia Kościuszki 16. m. 9

Dz. O. 403

WOLNE POSADY

SŁUŻĄCA

może się zgłosić od zaraz Perski M. Piłsudskiego 23 (fryzjer).

POKOJE

POKÓJ

umeblowany do wynajęcia. Sienkiewicza 2 m. 1 (róg Kolejowej).

ROZNE

OSTROWSKA

fabrykacja cholewek wykonuje cholewki tarczowe i młarowe, po cenach przystępnych. — Edmund Konieczny, ulica Szpitalna 9

„Dziennik Ostrowski” ukazuje się rano o g. 8 za wyjątkiem dni poświęconych — Abonament miesięczny: w ekspedycji 1.30 zł. z odnośnikiem do domu 1.50 zł. przez pocztę 1.66 pod opaską w kraju 2.80 W razie wypadków spowodowanych siłą wyższą, jak strajki i sabotaż pracy, wydawnictwo nie odpowiada za niedostarczenie pisma. Abonent nie ma prawa do odszkodowania. — Ogłoszenia: za 1 m/m jednolamowy na stronie 6-cio lamowej 12 gr. Przy ogłoszeniach skomplikowanych lub też przy specjalnym wybrze miejscu oblicza się w każdym wypadku 20% nadwyżki Zgłoszenia tabelaryczne 50% nadwyżki. Drobnym ogłoszeniom: słowo tytułowe 15 gr. każde dalsze słowo 7 gr. — Ogłoszenia płatne w Ostrowie lub agenturach zaskarżalne w Poznaniu — Konto czekowe P. K. O. w Poznaniu nr. 201.783 — Adres Redakcji i Administracji: Ostrów Pozn., M. Piłsudskiego 10, tel. 131. — Administracja czynna od godz. 8-1-ej i 3-18-ej. — Ogłoszenia do najbliższego numeru przyjmuje się do godz. 14-ej dnia poprzedniego, po tym czasie dolicza się koszt telefonu. — Niezamówionych rekwizytów nie honoruje się i nie zwraca. — Redaktor odpowiedzialny: Jan Radomski w Ostrowie Pozn. — Nakładem i czcionkami Drukarńi „Dziennika Poznańskiego” Sp. Akcyjna w Poznaniu — ulica ocztowa 9. — telefon 33-90 i 11-77